



Lauren Hemmings



Czarna orchidea

1

— Niechże pan jedzie szybciej! Samolot nie będzie na nas czekał! — głos Susan drżał z niecierpliwości.

Na kierowcy nie zrobiło to żadnego wrażenia. Z niezmałym spokojem, dowodząc wielkiej zręczności, prowadził taksówkę zatłoczoną ulicą w Acapulco.

Nie zrozumiał mnie, pomyślała nerwowo Susan. Wiem, mój hiszpański pozostawia wiele do życzenia. Zrezygnowana odrzuciła głowę na oparcie i przymknęła oczy.

Od samego rana wszystko szło nie tak! Tak jakby się miało coś wydarzyć — coś niespodziewanego, lecz i niepokojącego zarazem. Susan instynktownie wyczuwała takie rzeczy.

Natomiast jej koleżanki Pattie nic nie potrafiło wytrącić z równowagi. Nie wiedziała, co to pośpiech. Teraz też, jakby nigdy nic, spokojnie wyglądała przez okno samochodu.

Susan cała aż się gotowała. To Pattie była wszystkiemu winna! Zamiast zabrać się do pakowania swojej walizki, gdyż miały udać się w dalszą drogę do Mexico City, kręciła się tu i tam, a potem nie mogła oczywiście nadażyć z pozbieraniem swoich rzeczy.

Nie po raz pierwszy zresztą Susan była zła na koleżankę w czasie wspólnego urlopu. Po prostu nie powinna była wyjeżdżać z nią razem.

Przypomniała' sobie dzień, kiedy Pattie jak bomba wpadła do biura, z rozmachem zgarnęła wszystkie papiery z biurka Susan na jedną stronę i na opróżnionym miejscu położyła dwa bilety lotnicze.

— Tak naprawdę to chciałam lecieć do Meksyku z moim chłopcem, ale nic z tego nie wyszło — tłumaczyła zdumionej Susan. — Co tam! Polecę bez niego. Nie miałabyś ochoty udać się tam ze mną, Susan? Wyobraź sobie, całe dwa tygodnie w Meksyku!

W pierwszej chwili Susan miała ochotę podrzucić propozycję. Nie za bardzo lubiła Pattie. Uważała ją za straszną plotkarę i na dłuższą metę trudno jej było ją znieść. Komentarze Pattie na temat wspólnych znajomych były z reguły niesmaczne, a jej stosunek do mężczyzn...

— Tydzień w Acapulco i tydzień w Mexico City. Susan, będzie wspaniale! Tylko słońce, morze... no i cała reszta.

Na wspomnienie o Mexico City Susan nadstawiła nagle uszu. Już od dawna marzyła o tym, żeby zobaczyć to miasto. Acapulco mniej ją pociągało. Owszem, lubiła kąpiele słoneczne, lecz nie w nadmiarze. Należała do „wariatów, którzy błądzą po nudnych ruinach, zachwycając się zakurzonymi starociami". Tak Pattie nazywała tych, co to lubili zwiedzać i chodzić na wycieczki.

Po namyśle Susan wreszcie się zgodziła, mimo uzasadnionych obaw, czy znajdą z Pattie wspólny język. Ostatecznie jednak powiedziała sobie, że lepiej jechać na urlop do Meksyku niż znosić chłodny, mokry marzec w Nowym Jorku. Odkupiła więc od Pattie bilet i w ten sposób przesądziła sprawę. Nie żałowała tej decyzji. Od pierwszego dnia czuła się w Meksyku doskonale. Jediną ciemną stroną wyjazdu była trzpiotowata Pattie. Najchętniej rozłączyłaby się z nią i spędzała czas na własną rękę, nie chciała jednak robić tego koleżance, toteż prawie wszędzie

chodziły razem. Susan uwielbiała leżeć spokojnie na plaży i bujać w obłokach, słuchając fal rozbijających się łagodnie o brzeg i snując marzenia, Pattie natomiast dopiero wtedy była zadawalona, gdy nadarzała się okazja do flirtu. Niezmordowanie próbowała „wyzywać szczęście”, jak określała specjalne zabiegi, aby tylko zwrócić na siebie uwagę. Była w tym prawdziwą mistrzynią. O dziwo, zdawało to egzamin właściwie zawsze, Pattie więc rzeczywiście nie mogła uskarżać się na brak wielbicieli. A wyglądało to tak: już z samego rana szła na plażę i zajmowała najdogodniejsze pod względem strategicznym miejsce. Gdy tylko w pobliżu pojawiał się jakiś miły młody człowiek, natychmiast, niby to przypadkiem, zbliżała się do niego kołysząc biodrami, a przy tym zawsze coś upuszczała. Raz była to chusteczka do nosa, innym razem krem do opalania. W ten sposób w przeważającej części wypadków udawało jej się wywołać zainteresowanie swoją osobą. Młodzi mężczyźni z miejsca się podrywali, wywiązywała się rozmowa i dalej wszystko szło już jak z płatka.

Susan też nawiązałaby bez trudu podobne znajomości, lecz nie przywiązywała wagi do przelotnych flirtów, więcej, nie lubiła ich. Ignorowała pełne podziwu spojrzenia i nikomu nie pozwalała sobie towarzyszyć. Tym razem zresztą miała coś ważniejszego do zrobienia. Musiała poważnie zastanowić się, co dalej począć ze swoim życiem.

Od czterech lat pracowała jako sekretarka w biurze notarialnym „Mather & Friend” na Manhattanie. O wiele za długo, myślała z niechęcią. Wiedziała, że szef wiąże z nią wielkie nadzieje, lecz myśl o tym, że mogłaby się zestarzeć siedząc w jednym i tym samym miejscu, napawała ją przerażeniem. Nie dawało jej to spokoju. Musiała, koniecznie musiała coś z tym zrobić.

Zaczęła od rozeznania się w swych umiejętnościach. Było to trudne, już łatwiej dałoby się zliczyć jej zaintereso-

wania. Szczególnie lubiła muzykę i konie, uwielbiała też dzieci. Na razie postanowiła zaraz po urlopie zacząć systematyczne przeglądanie anonsów o pracy.

Choć Susan lubiła morze i słońce, po tygodniu spędzonym w Acapulco miała już dość, tym bardziej więc cieszyła się na Mexico City. Pattie natomiast najchętniej zostałaaby w Acapulco, nie chciała jednak nawet słyszeć o tym, że Susan sama poleci do Mexico City.

— Nie wyobrażaj sobie, że puszczę cię samą — oświadczyła stanowczo. — Prawdę mówiąc, moi tutejsi wielbiciele już i tak mi się znudzili. Kiedy ty jesteś ze mną, przynajmniej nie są tacy natrętni.

— A więc to tak! — obruszyła się Susan. — Uwaga, zły pies!

— Coś ty! — Pattie stropiona spojrzała na koleżankę.

— A jak inaczej mam to rozumieć? — spytała z przekąsem Susan.

— Przesadzasz. Nie muszę ci przecież mówić, że jesteś o wiele ładniejsza ode mnie. Z tymi swoimi cudownymi włosami spychasz mnie zawsze na drugi plan. Według mnie roztaczasz... hm... nie wiem, jak to nazwać. W każdym razie jest w tobie coś takiego, że od razu wiadomo, iż nie można sobie z tobą na wszystko pozwolić.

Susan była prawdziwie zakłopotana. Nagle popatrzyła na koleżankę całkiem innymi oczami. Co jej się stało?! Pattie była zawsze taka pewna siebie. Susan naprawdę nigdy nie myślała, że jest zdolna spojrzeć na siebie krytycznie, a tu naraz...

W gruncie rzeczy Pattie jednak wcale nie chciała się zmienić. Woląca zostać taka, jaka jest, a poza tym mieć trochę rozrywki, być rozpieszczaną przez mężczyzn, a myślenie pozostawić innym. Z tego też powodu święcie wierzyła, że dla niej najlepszym rozwiązaniem było-

by małżeństwo z jakimś atrakcyjnym bogatym mężczyzną.

— Jadę z tobą! Przecież w Mexico City też są mężczyźni! — rzekła całkiem otwarcie. Susan musiała się rozśmiać.

Szarpięcie gwałtownie hamującej taksówki przywołało ją brutalnie do rzeczywistości. Przez moment nie wiedziała, gdzie się znajduje, zaraz jednak uzmysłowiła to sobie. Przecież miały z Pattie zdążyć na samolot do Mexico City. W pośpiechu wystawiała bagaże na chodnik, gdy tymczasem Pattie płaciła kierowcy, załatwiwszy w pośpiechu formalności, całkiem wyczerpane znalazły się jako ostatnie na pokładzie samolotu.

Pattie zaraz odkryła dwa miejsca w pobliżu nienagannie ubranego mężczyzny. Trąciła Susan, mrugając okiem, i kazała jej iść za sobą.

Susan na moment zatrzymała się niezdecydowanie w przejściu, zaraz jednak musiała pokręcić głową z uśmiechem. Pattie była rzeczywiście niepoprawna. Susan stwierdzała to po raz nie wiadomo który. Ledwie Pattie zobaczyła atrakcyjnego mężczyznę, od razu rozpoczynała swoje zwykłe zabiegi. Owszem, traciła głowę, lecz w całkiem określony sposób. Powoli ruszyła za koleżanką i opadła na siedzenie obok.

— Halo! Mam na imię Pattie! Jest pan Meksykaniem? Mówi pan po angielsku? — Pattie nie traciła czasu zasypując swego sąsiada gradem pytań. Ten jednak zdawał się jej nie słyszeć, w każdym razie nie otworzył oczu. Pattie nie pozostawało nic innego, jak zamilknąć, co zresztą nie oznaczało, że tak od razu straciła nim zainteresowanie.

Susan też przyglądała mu się ukradkiem. Elegancki garnitur i zadbana broda nadawały mu dystyngowany wygląd. Tak mógłby wyglądać prawdziwy grand hiszpański, zastanawiała się w duchu. W każdym razie na kogoś

takiego wyglądał. Usiłowała zgadnąć, jakiego koloru ma oczy, zaraz jednak spuściła głowę, zauważywszy, że jego powieki drgnęły. Znaczyło to, że na pewno nie śpi.

— *Dios Mio! Dios Mio!* — westchnął naraz tuż obok jakiś drżący głos.

Zaskoczona spojrzała w tym kierunku i natrafiła na trzy pary rozszerzonych strachem oczu. Skuliwszy się bojaźliwie w fotelu, czekała na start młoda Meksykanka. Na jednej ręce trzymała niemowlę, drugą przesuwała paciorki różańca. Do jej boku przywarł mały chłopiec. Już na pierwszy rzut oka widać było, że do tej pory nigdy nie lecieli samolotem.

Jeszcze bardziej utwierdziła się w tym przekonaniu, gdy maszyna drgnęła i zaczęła toczyć się po pasie startowym. Słowa modlitwy szeptanej przez jej meksykańską sąsiadkę brzmiały teraz rozdzierająco, z prawdziwą rezygnacją.

Susan uśmiechnęła się pocieszająco do zatrwożonego chłopca. Dziecko wstydliwie spuściło głowę, zauważyła jednak z rozbawieniem, że co chwilę zerka na nią ukradkiem. Przez moment oglądała wspaniały krajobraz, jaki rozciągał się w dole, nie za długo jednak mogła się na nim skupić, gdyż naraz obok rozległ się oburzony krzyk. To Meksykanka strofowała chłopca, który zanosił się od płaczu patrząc bezradnie po sobie. Spojrzawszy na podłogę samolotu, Susan od razu zrozumiała, co się stało. Nagły wstrząs maszyny tak przeraził dziecko, że upuściło szklanekę z lemoniadą. Gdy na domiar złego jeszcze i niemowlę zaczęło krzyczeć, kobieta do reszty staciła głowę.

Susan nie potrafiła się temu biernie przyglądać.

— *Permitame!* — uprzejmie zwróciła się do Meksykanki. — Jeśli pani pozwoli, pójdę teraz z chłopcem do toalety i przyprowadzę go nieco do porządku.

Mimo że Susan słabo mówiła po hiszpańsku, bezradna młoda matka natychmiast ją zrozumiała i uśmiechnęła się

z wdzięcznością. Szorstko rozkazała swemu synkowi, aby poszedł z Susan.

Susan podniosła się i ujęła malca za rękę. Chłopiec wstał z ociąganiem.

— Mam na imię Susan — rzekła wskazując przy tym na siebie palcem. — A ty?

— Marco — wyszeptał bojaźliwie i spuścił głowę.

Ubranko Marca było rzeczywiście w opłakanym stanie. Zaczęła ścierać lepkie plamy, a przy tym rozmawiała z chłopcem, próbując go nieco ośmielić. Kiedy wreszcie wrócili na swoje miejsca, Marco już zdążył się uspokoić i nawet uśmiechał się lekliwie. Susan wzięła go na kolana, gdzie pozostał już do końca lotu. Bardzo szybko wynaleźli sobie nowe zajęcie. Marco wymawiał różne słowa, tłumacząc, co one oznaczają, a Susan była uczennicą. W bardzo krótkim czasie poznała określenia na nos, usta, podbródek, i tak dalej. Z wymową było nieco gorzej. Marco raz po raz wybuchał śmiechem, gdy Susan źle wymówiła jakieś słowo lub zaakcentowała je nieprawidłowo.

Nagle jej wzrok padł na mężczyznę z naprzeciwka. Zaskoczona odwróciła szybko oczy, stwierdzając, że mężczyzna ją obserwuje. Właściwie nie rozzłościło jej to wcale, zaniepokoił ją tylko wyraz twarzy nieznajomego. Co się na niej malowało: strach, smutek, depresja? A może rezygnacja? Spojrzała znów na niego. Z jego oczu wyczytała głęboki smutek. Była wstrząśnięta. Jej wesołość prysła jak bańka mydlana. Marco gawędził dalej, lecz Susan zabrakło już siły, żeby go słuchać.

Na moment przymknęła oczy, zastanawiając się, co tego człowieka może gnębić. Musiał mieć za sobą jakieś smutne przeżycia, to pewne. Naraz i ją opadły niewesołe wspomnienia. Nie mogła nie pomyśleć o śmierci swoich rodziców. Miała wtedy trzynaście lat i przez długi czas nie udawało jej się tego w sobie przezwyciężyć. Z trudem

wróciła wtedy do równowagi, coś z tego smutku już jej jednak pozostało. Czyżby ten mężczyzna też stracił kogoś bliskiego? Lecz w jego spojrzeniu odnajdywała nie tylko smutek. Odkrywała coś więcej, jakąś osobliwą gorycz. Ku swemu zdziwieniu zdała sobie sprawę, że bardzo chętnie zgłębiłaby tę tajemnicę...

Po wylądowaniu w Mexico City i pożegnaniu się z małym Marco i jego matką Susan jeszcze przez chwilę pozostała na miejscu, przymknawszy nawet oczy. Nagle wydało jej się, że nieznajomy mężczyzna wstał i z niezdecydowaniem się jej przygląda. Lękała się unieść powieki, tak niepokoilo ją jego spojrzenie. Gdy wreszcie nabrała przekonania, że odszedł, podniosła się i ruszyła do wyjścia. Raptem jak spod ziemi wyrósł przed nią obcy zastawiając sobą drogę. Patrzył na nią przy tym dziwnym wzrokiem. Susan stanęła jak wryta, upuszczając z wrażenia swoją torebkę.

A więc znów wpatrywały się w nią te niewymownie smutne oczy! Susan zapomniała o bożym świecie, wpatrując się w nie jak zahipnotyzowana. Wszystko, co się później wydarzyło, przeżyła jak we śnie. Mężczyzna ujął ją za ramiona, przez jedwab bluzki uczuła ciepło jego rąk, potem znenacka pochylił się nad nią i przycisnął swoje wargi do jej ust.

Zamknęła oczy, zniewolona dziwnym uczuciem, które ją niespodziewanie opanowało. Było w nim upojenie, jakiego jeszcze nigdy dotąd nie zaznała.

Nagle obcy ją puścił. W jego piersi wezbrało westchnienie, mimo to uparcie nie odrywał od niej wzroku. Susan niezdolna była się poruszyć.

— Kocham cię — szepnął gorąco mężczyzna. Jego twarz zdradzała prawdziwą udrękę.

To było wszystko. Susan patrzyła za nim niemo,

a myśli kłębiły się w jej głowie. Trudno jej było pojąć, co tak naprawdę się stało. Kolana miała jak z waty, przed oczami ciągle majaczyła jej zdradzająca wewnętrzną rozterkę twarz nieznajomego.

W takim stanie ducha zastała ją Pattie, która zaniepokojona wróciła po swoją koleżankę.

— Wszystko widziałam. — W głosie Pattie dźwięczała ciekawość. — Dlaczego cię pocałował? — Wpatrzyła się zaintrygowana w Susan.

Susan podniosła się z trudem, patrząc na Pattie jak lunatyczka.

— Nie pytaj mnie o nic, Pattie. Ja też tego nie pojmuję. Nie wiem, co się dzieje z tym człowiekiem. W każdym razie na pewno coś dziwnego. Nie powiedział słowa. A to... to się po prostu stało.

— Ależ Susan — zaprotestowała Pattie — przecież coś musiało być wcześniej. Nic z tego nie rozumiem. Pewnie go sprowokowałaś. Dobry z ciebie numer, nie ma co! Ale ja na twoim miejscu zrobiłabym to samo. Widzisz, ja mam oko, od razu stwierdziłam, że to fantastyczny mężczyzna.

To rzucało się w oczy: Pattie wprost pękała z zazdrości. Oczywiście nie dała za wygraną, chcąc się za wszelką cenę dowiedzieć, kiedy Susan znowu zobaczy swego adoratora.

— Już ci mówiłam, że nie zamieniłam z nim ani jednego słowa! — wzruszyła ramionami Susan.

Pattie z niedowierzaniem spojrzała na koleżankę.

— Nie mówisz chyba poważnie. Ja umówiłabym się z nim natychmiast, nie dałabym umknąć takiej szansie, która zdarza się tylko raz»No cóż, stało się. Co było, to było. Chodź, musimy poszukać hotelu.

Susan ciągle jeszcze nie mogła przyjść do siebie, tak wytrącił ją z równowagi ten nieoczekiwany pocałunek. Oczywiście, Susan nieraz całowała się z chłopcami, ostatecznie była normalną dziewczyną, a przecież nigdy jeszcze

nie przeżywała tego tak jak teraz. Próbując wmówić sobie, że mężczyzna pocałował ją. impulsywnie, powodowany nastrojem chwili, poszła jak we śnie za Pattie. Jej ruchy były automatyczne, wzrok niewidzący, głos bez wyrazu. Coś nie dawało jej spokoju.

RS

2

Susan nie potrafiła jednak przejść do porządku nad niecodziennym wydarzeniem z samolotu. Mimo iż sama przed sobą nie chciała się do tego przyznać, pocałunek nieznajomego wycisnął na jej duszy niezatarte piętno. Wędrując ulicami Mexico City, mimo woli szukała w tłumie przystojnego wysokiego mężczyzny o smutnych oczach. Złościło ją, ile razy przyłapała się na tym, lecz było to silniejsze od niej. Coś ją zmuszało do tego, aby za wszelką cenę go odnaleźć. A przecież doskonale zdawała sobie z tego sprawę, że wręcz niepodobna spotkać kogoś przypadkiem w tak dużym mieście jak Mexico City. Ale nawet ta świadomość nie odciągała jej od rozglądania się za nim. Doszło do tego, że w każdym nieledwie mężczyźnie o podobnej sylwetce dopatrywała się cech nieznajomego. To był rodzaj obłądu, wiedziała aż za dobrze, a jednak nie potrafiła inaczej.

Nie cieszyło jej oglądane miasto, choć przecież wcześniej tak pragnęła je zobaczyć. Właściwie, mimo intensywnego zwiedzania, pozostało jej w pamięci tyle co nic. Wieczorami tylko niejasno sobie przypominała, że bez końca wędrowały z Pattie ulicami, tu i tam przystając dla obejrzenia czegoś godnego uwagi. Jej myśli zaprzętał nieznajomy mężczyzna.

Co powiedzą znajomi z Brooklynu, gdy usłyszą o jej przygodzie? Koleżankom na pewno przez długi czas nie będą zamykać się usta. Bez wątplenia spodoba im się ta romantyczna historia. Susan żywo odmalowywała sobie, z jaką ciekawością będą wypytywać ją o podboje podczas urlopu. Nic takiego, nie warto o tym mówić, odpowie z udaną obojętnością. Chociaż nie, coś mi się przypomniało: przystojny, wytworny Meksykanin porwał mnie tuż po wylądowaniu w Mexico City w objęcia i namiętnie pocałował. Wyobrażała sobie siebie opartą o bar w lokalu, do którego zawsze chodziła z przyjaciółmi, i opowiadającą o tym. Jej akcje u chłopców pójdą w górę, to oczywiście, a dziewczyny będą umierały z zazdrości. Ona sama będzie się zachowywała swobodnie i wesoło. Jej specyficzny humor był ceniony w kręgu przyjaciół. Wiedziała, że uważają ją za dziewczynę, z którą można konie kraść.

Uśmiechnęła się przypomniawszy sobie, że niejedyn z jej przyjaciół przyszedł już do niej z kwiatami, odświętnie ubrany, i proponował jej małżeństwo. Oczywiście odrzuciła każdą z tych propozycji.

Susan bardzo lubiła swych przyjaciół, a przecież miała wrażenie, że czegoś jej w tych kontaktach z nimi brakuje. Nieoczekiwanie niezobowiązujące koleżeństwo czy przelotny flirt wydało jej się czymś niepełnym, mało znaczącym. Po dziwnym spotkaniu z nieznajomym Susan zatęskniła naraz do wielkiej, opisywanej w książkach miłości. Zdarzyło się coś wyjątkowego, niepowtarzalnego i cudownego zarazem, tak jakby między Susan a mężczyzną z samolotu przeskoczyła jakaś tajemnicza iskra. Wydawało jej się, że ten człowiek nie jest już obcy, że coś ich związało na zawsze. Jego pocałunek wzburzył ją, podniecił — ale i zaniepokoił. Od tego czasu dziewczynę dręczył rozkoszny, pełen tęsknoty niepokój.

Lecz na cóż mogły przydać się najwspanialsze nawet

uczucia, skoro nie wiedziała, czy go jeszcze kiedykolwiek zobaczy? Zapomnij o nim, perswadował głos rozsądku. Właściwie tak byłoby najlepiej, Susan to czuła, lecz wszystko na nic, wciąż widziała go oczami wyobraźni. Biła się z myślami, stawiała sobie niezliczone pytania, na które nie potrafiła znaleźć odpowiedzi. Kim był? Skąd pochodził? Gdzie teraz jest? Czy myśli czasem o niej? A może już zdążył zapomnieć o wydarzeniu w samolocie? Czy ten skradziony pocałunek znaczył coś dla niego? Na myśl o tym, że mogła to być tylko zabawa, Susan robiło się słabo.

Od tamtego momentu nie zaznała chwili spokoju. Spała źle, dręczona niespokojnymi snami. Trzeciej nocy przyśniło jej się, że właśnie miała wsiąść do samolotu lecącego do Nowego Jorku, gdy nagle stanął przed nią Meksykanin i obrzucił ją pełnym wyrzutu spojrzeniem. Od tej pory nie mogła sobie dać rady. Oczywisty wyjazd z Mexico City jawił jej się teraz jako ucieczka przed przeznaczeniem. Obudziła się zlaną potem, ze straszliwym bólem głowy, i już do rana nie usnęła rozdarta wewnętrzną rozterką. Co robić?

Pattie też wstała nie najlepiej usposobiona. Leniwie, z wyjątkową niechęcią zwlekła się z łóżka. Miała serdecznie dość Mexico City. Długie trasy dla zwiedzających wychodziły jej już bokami. Nie, to stanowczo nie dla niej. Po prostu przeraźliwie się nudziła. Gdy spotkały się na śniadaniu, z miejsca zaczęła narzekać.

— Susan, ja wysiadam! Wystarczy, że zobaczę jeszcze jedną mozaikę lub posąg jakiegoś hiszpańskiego bohatera, a nie ręczę za siebie. Bardzo się dziwię, że ciebie to jeszcze nie znudziło. Najchętniej spakowałabym manatki i pierwszym samolotem wróciłabym do Nowego Jorku. Tam można dostać hamburgery, a nie to ostre okropieństwo które tutaj podają. Nawet nie wiesz, jaką

mam ochotę na pieczone kurczę czy stek. Powiedz coś, Susan!

Susan niewidzącym wzrokiem spojrzała na koleżankę. Mimo woli przypomniał się jej sen z ostatniej nocy. Pattie ma rację. Powinny wrócić do Nowego Jorku. Tam może kiedyś odzyska spokój.

— Dobrze, zastanowię się nad tym — rzuciła w zamyśleniu. To na razie wyczerpało temat.

Po śniadaniu Susan wróciła do swego pokoju. Chciała zostać sama, aby wreszcie podjąć decyzję. Nieustanna paplanina Pattie działała jej na nerwy.

Pomyślała o Nowym Jorku, o swej przyjaciółce Shirley, która miała wyjechać po nią na lotnisko, o wspaniałych platanach rosnących na ulicy, przy której mieszkała... Ale powrót oznaczał też definitywne rozstanie z palmami i kaktusami, ze wspaniałą podzwrotnikową roślinnością, tak ją fascynującą. A przede wszystkim oznaczał koniec poszukiwań tajemniczego mężczyzny. Załkała.

Gdy znajdzie się na powrót w Nowym Jorku, znów zacznie się codzienna szarżyzna. Oznaczało to zrywać się każdego ranka o świcie, pędzić na złamanie karku do metra, znosić tłok w sklepach i na ulicach, a w każdy sobotni wieczór tkwić w barze ze znajomymi. Ciągłe to samo, rytuał nieledwie.

Naraz te wszystkie rozrywki wydały jej się całkiem bez wyrazu. Spotykała mężczyzn, którzy nic dla niej nie znaczyli, powtarzających ciągle te same żarty. Jakże wiele tracili w zestawieniu z Meksykaninem o zrozpaczonych oczach! Tkwiła w nim jakaś tajemnica, i to ją pociągało.

Zapatrzyła się w przestrzeń. Nie wróci do Nowego Jorku. Nie, nie i jeszcze raz nie! A przynajmniej jeszcze nie teraz.

Kiedy wreszcie podjęła decyzję, od razu zrobiło jej się lżej. Zaraz też poszła oznajmić ją Pattie. Koleżanka leżała

na łóżku, przeglądając od niechcienia jakiś tygodnik. Na widok Susan uniosła się na łokciu pełna oczekiwania.

— Pakujemy się? — spytała z nadzieją w głosie.

— Nie, Pattie, ja tu jeszcze zostanę. Muszę wykorzystać pobyt do końca, aby nacieszyć się miastem. Chcę po prostu wrócić w niektóre miejsca. Jeśli się nudzisz, idź na basen. Spotkasz tam na pewno paru miłych mężczyzn, to będzie dla ciebie przyjemna odmiana. Ja w tym czasie pochodzę po mieście. Zbieraj się, szkoda czasu — Susan podeszła do drzwi.

Uszczęśliwiona Pattie skoczyła na równe nogi, przypadła do walizki i zaczęła w niej szukać kostiumu kąpielowego. Wreszcie mogła spędzić dzień po swojemu.

— Ty też baw się dobrze — rzuciła za Susan obrzucając ją uważnym spojrzeniem. — Mam nadzieję, że nie wybierasz się na poszukiwania tego faceta z samolotu — dodała podejrzliwie.

Susan uśmiechnęła się, lecz nic na to nie powiedziała, zadowolona, że przez jakiś czas będzie sama. Tylko w ten sposób mogła zrealizować swój plan. Na to przedpołudnie bowiem zaplanowała coś, przy czym w żadnym wypadku nie mogło być Pattie.

Zeszła do hallu hotelowego i zatrzymała się przed kioskiem, gdzie na ladzie były wystawione dzienniki, zdecydowana przejrzeć je w poszukiwaniu jakiegoś zajęcia. Charakter pracy był jej właściwie obojętny, była skłonna podjąć się wszystkiego, byle tylko móc zostać w Mexico City.

Nagle zatroskana zmarszczyła czoło. Na śmierć zapomniała, że tak na dobrą sprawę nie zna przecież hiszpańskiego, jak w takim razie mogła znaleźć coś dla siebie?

Gorączkowo przerzuciła stos dzienników. Wreszcie coś w języku angielskim! Odetchnęła z ulgą, tym bardziej że

kolumna ogłoszeń wyglądała wielce obiecująco. Z gazetą w rękę opadła na jeden ze stojących w hallu foteli.

Teraz dopiero uświadomiła sobie, jak trudne czeka ją zadanie, bo za żadne skarby nie mogła sobie wyobrazić, jakiej to pracy mogłaby szukać w obcym kraju.

Pomyślała o swoim szefie w Nowym Jorku. Chwalił ją, bo dobrze pisała na maszynie i stenografowała. Według niego była znakomitą sekretarką. To była prawda. Tyle że tutaj mała była szansa, aby ktoś szukał sekretarki posługującej się jedynie językiem angielskim.

Zniecierpliwiona jeszcze raz przejrzała ogłoszenia, wyławiając z nich ostatecznie dwa. Szukano kelnerki, kobiety niezamężnej, z dobrą prezencją. W drugim przypadku anons brzmiał interesująco, lecz Susan nie mogła się zorientować, na czym właściwie polegałaby proponowana praca.

Przy okazji przyjrzała się swemu odbiciu w wielkim lustrze. Nie uważała siebie za wyjątkowo atrakcyjną dziewczynę, choć chwilami miała wrażenie, iż ocenia siebie pod tym względem zbyt surowo. To prawda, nie była skończoną pięknoscią, ale wyglądała bardzo ładnie, ze swą pociągłą twarzą, wielkimi ciemnymi oczami i kształtnym nosem, na którym widniało kilka zabawnych piegów. Lecz przede wszystkim zwracały uwagę wspaniałe włosy dziewczyny, opadające jej prawdziwą kaskadą na plecy. Wiedziała z własnego doświadczenia, jakim wzięciem cieszą się blondynki w Meksyku.

Susan miała też całe mnóstwo innych zalet, których nie można było dostrzec na pierwszy rzut oka. Obdarzona była wesołym usposobieniem i wyjątkową uczciwością. Wobec niesprawiedliwości dosłownie wpadała we wściekłość, a gdy sobie raz coś wbiła do głowy, potrafiła być uparta jak osioł. Ta ostatnia cecha była w niej dominująca. Kiedy już zdecydowała się znaleźć sobie jakąś pracę w Mexico City, nie miała zamiaru od tego odstąpić.

Skinęła głową swemu odbiciu i opuściła hotel. Starła się przy tym sprawiać wrażenie osoby pewnej siebie, zdecydowanej i przedsiębiorczej, choć w głębi duszy dziewczyny czaił się niepokój o powodzenie całego przedsięwzięcia.

W ciągu trzech ostatnich dni urlopu Susan wzdłuż i wszerz przewędrowała miasto, lecz na próżno, nikt nie chciał jej zatrudnić. Także w ambasadzie amerykańskiej nie umiano jej pomóc. Wypełniła co prawda liczne formularze i kwestionariusze, wysłuchiwała też wielu dobrych rad, pracy jednak nie dostała.

Taka wędrówka miała też swoją dobrą stronę. Susan coraz lepiej poznawała miasto ciesząc się każdą minutą spędzoną w Mexico City.

Był to dla niej świat kontrastów. Przemierzała wąskie uliczki utrzymane w staro hiszpańskim stylu, emanujące osobliwie zadumaną atmosferą, aby za chwilę znaleźć się w skłębionym zgiełku ulicznym, wśród dziko wygrażających taksówkarzy w samochodach o jaskrawych barwach, które robiły piekielny hałas. W samym centrum, najbardziej ożywionej części miasta, nierzadko spotykała Meksykan dzwigających olbrzymie ciężary na plecach lub pędzących na targ kozy i torujących sobie drogę wśród tłumu.

Susan zdawało się, że znajduje się w jakimś obcym fantastycznym świecie. Zdażyła już polubić tych obdarzonych prawdziwym temperamentem ludzi z ich wyjątkową gościnnością, nie mogła dość nacieszyć się wspaniałymi widokami. Także i meksykańskie potrawy bardzo smakowały Susan. Rzadko kiedy udawało jej się spokojnie przejść obok restauracji czy bistra, z którego rozchodziły się zapachy aromatycznie przyprawionych egzotycznych potraw. Dobrze wiedziała, że to słabość, lecz nie umiała się oprzeć chęci poznawania kraju także od strony kuchni. Na

szczęście nie groziło jej przybycie na wadze, gdyż przebywała dziennie pieszo wiele kilometrów.

Ostatniego dnia przed wyjazdem Susan ciągle jeszcze nie miała pracy. Nie mogła pojąć, jak w takim olbrzymim mieście, o tysiącach zakładów i sklepów, nie miało się znaleźć dla niej jakieś zajęcie. Była o krok od zwątpienia. Czyżby jej życzenie, aby rozpocząć nowe życie, miało pozostać nie spełnione?

Nie pozostało więc nic innego jak wracać. Przynajmniej w Nowym Jorku nikt nie wąpi w moje umiejętności, myślała przygryzając wargę.

Ostatniego dnia Susan poszła jeszcze pożegnać się z miastem. Przecięła Plaża de las tres Culturas i usiadła na ławce w pobliskim parku, skąd rozpościerał się wspaniały widok. Widziała przed sobą ruiny azteckiej świątyni, na której szczątkach wzniesiono w późniejszych wiekach kościół w klasycznym hiszpańskim stylu. Za zabytkowymi budynkami piętrzyły się szklane fasady wieżowców. Nazwa placu odpowiadała rzeczywistości. Spotkały się tu trzy epoki.

Susan patrzyła urzeczona. Mexico City, zakochałam się w tobie, stwierdziła z powagą. Pomyślała o Nowym Jorku i ręce dosłownie jej opadły. Doskonale wiedziała, że już zawsze będzie tęsknić za tym bajecznie kolorowym miastem. Niechętnie kopnęła czubkiem sandała kilka kamyczków. Musiała przecież istnieć jakaś możliwość pozostania tutaj, należało mieć tylko cierpliwość i nie poddawać się. Nagle humor wyraźnie się jej poprawił. Zdecydowanie potrząsnęła głową. Niech się dzieje, co chce, ona i tak nie wróci do Nowego Jorku. Nućąc półgłosem ruszyła wesoło przed siebie, postanawiając najpierw coś zjeść.

Nie musiała szukać daleko. W pobliżu odkryła małą przytulną restaurację, znalazła wolny stolik i usiadła. Niestety, potrawy okazały się za drogie na jej skromną

kieszon, musiała więc wzdychając w duchu, zadowolić się *cafe eon leche*.

W restauracji było pustawo i sennie, więc aż drgnęła, usłyszawszy w pobliżu podniesiony, dźwięczący niecierpliwością głos. Odwróciła głowę i zobaczyła dość korpulentnego mężczyznę, który gorączkowo wymachiwał rękami, najwyraźniej podenerwowany. Obok niego siedziało dwoje starannie ubranych dzieci: chłopiec i dziewczynka. Miały spuszczone głowy, dziewczynka nawet płakała.

Susan była poruszona. Mężczyzna o zaczerwienionej twarzy z miejsca wydał się jej wysoce niesympatyczny. Jak mógł tak krzyżeć na dzieci? Najchętniej by się wmieszała, nie orientując się jednak, o co chodzi, wołała na razie tego nie robić.

Mężczyzna mówił o jakimś terminie, tyle w każdym razie udało się Susan zrozumieć z jego szybkiej podniekowanej mowy. Dzieci miały tu, przy stole czekać na niego. Przerazone, że tak długo będą musiały zostać same, zgodnym chórem zaprotestowały, mężczyzna jednak ani myślał ich słuchać. Poderwał się tak gwałtownie, że aż jego krzesło się przewróciło, omiół posepnym spojrzeniem dzieci, po czym klnąc opuścił restaurację.

Te jak skamieniałe pozostały na swoich miejscach. Dziewczynka, młodsza, nadal cicho popłakiwała, chłopiec zaś gniewnie rozglądał się dookoła. Potem odwrócił się do siostry i pogłaskał ją po wstrząsanym łkaniem ramieniu.

— *No te preocupes*, Emilia. Przecież jestem przy tobie. Będę uważał, by nic ci się nie stało.

Susan zrobiło się żal dzieci, wstała więc i podeszła do ich stolika. Chłopiec podniósł niechętnie wzrok, a natykawszy przyjazny uśmiech Susan wpatrzył się w nią nieufnie.

— Halo! — powiedziała łagodnie. — Mówicie trochę po angielsku?

Zdziwiona dziewczynka uniosła zapłakaną twarz i również wpatrzyła się w Susan wielkimi oczami, wreszcie z ociąganiem skinęła głową.

— Mogę się do was przysiąść? Nie będzie wam wtedy tak nudno, a wasz tato zaraz przyjdzie — rzekła wesoło.

— Proszę bardzo, *senorita* — zaprosił dwornie chłopiec.
— Będzie nam bardzo przyjemnie.

Co za dziwne dziecko, pomyślała Susan. To przecież nie jest mały chłopiec, to dorosły!

— Czy pani już jadła, *senorita*?

— Nie, piję tylko kawę. — Skinęła na kelnera i poleciała przynieść ją sobie do stołu dzieci.

— A tak w ogóle nazywam się Susan Adams. Możecie spokojnie mówić do mnie Susan — przedstawiła się.

Dziewczynka posłała jej nieśmiałe spojrzenie. Gdy Susan z kolei popatrzyła na chłopca, wstydliwie spuścił głowę, zaraz jednak wyprostował się jak świeca i powiedział z pełnym galanterii ukłonem:

— Nazywam się Roberto de Silva. Mam siedem lat. A to moja siostra Emilia, lat pięć.

— Strasznie miło was poznać. Jesteście obydwójce bardzo sympatyczni — rzekła Susan strojąc pocieszne miny. Dzieci wybuchnęły śmiechem. Lody zostały przełamane!

Susan wysypała na dłoń zapalki z leżącego na stole pudełka i pokazała dzieciom kilka sztuczek. Bardzo im się to oczywiście spodobało i starały się ją naśladować. Nieudanym próbom towarzyszyły radosne wybuchy śmiechu, wreszcie jako tako opanowały technikę. W każdym razie było przy tym sporo zabawy.

Nagle wesoły śmiech dzieci zamarł. Susan odwróciła się. Za jej plecami stał gruby mężczyzna.

Susan nie pozwoliła mu dojść do słowa, tylko zawołała przepraszająco, uprzedzając ewentualny atak:

— Przysiadłam się do dzieci, bo były takie smutne, gdy

pan... Prawdopodobnie podnieśliśmy przy zabawie wielki hałas, przepraszam.

Mężczyzna przerwał jej jednak żywo gestykując:

— Ależ dlaczego mnie pani przeprasza, *senorita*?

Wręcz przeciwnie, jestem bardzo zadowolony z tego, co się stało. Pozwoli pani, że usiądę i też wezmę udział w zabawie?

Gdy patrzył na Susan, jego twarz, jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, zmieniła się nie do poznania. Dziewczyna wyraźnie mu się podobała. Bez żenady przyglądał jej się taksującym spojrzeniem.

Susan zrobiło się nieprzyjemnie. Nie życzyła sobie, żeby ktoś się w nią tak wpatrywał, a już na pewno nie ten odpychający człowiek, wstała więc i rzekła z pośpiechem:

— Przepraszam bardzo, lecz muszę już iść.

— Och, proszę, niech pani jeszcze nie ucieka, tak bardzo proszę — rzekł mężczyzna przymilnie, z przesadną uprzejmością, i chwycił ją za ramię. Susan obrzuciła go niechętnym spojrzeniem i jednym szarpnięciem zrzuciła jego rękę. Cóż ten facet sobie wyobraża! Nawet jednego słowa nie powiedział do *dzieci*, tak jakby tych dwoje w ogóle nie istniało, a jej samej po prostu się narzuca!

Naraz zrobiło jej się ich żal. Wyglądało na to, że boją się swego ojca.

Meksykanin zdążył ją na powrót usadzić przy stole i z miejsca zarzucił pytaniami.

— Co pani robi w Mexico City? Nie mieszka pani przecież tutaj na stałe, czyż nie tak? Turystka, tak? Jak się pani tu podoba?

Wpatrywał się w nią z zainteresowaniem.

Bliskość tego mężczyzny nie była dla Susan przyjemna. Miał coś dziwnie lubieżnego we wzroku. Odchyliła się najdalej jak mogła, co oczywiście nie przeszkodziło mężczyźnie przysunąć się do niej z krzesłem.

Zdenerwowana wyjaśniła chłodno:

— Próbuję tu znaleźć jakąś pracę.

— Ale dlaczego? Ma pani rodzinę w Meksyku? A może jest jakiś miły młody człowiek, który panią tutaj trzyma?

Susan musiała pomyśleć o mężczyźnie z samolotu. Serce dziewczyny zabiło niespokojnie, mimo to uśmiechnęła się.

— Nie! Ani jedno, ani drugie. Po prostu dobrze się czuję w tym mieście, a poza tym nie mam ochoty na razie wracać do Nowego Jorku. Zresztą już od dawna zamierzam zmienić zawód...

Zła była na siebie, że tyle powiedziała o sobie, i to w dodatku temu antypatycznemu mężczyźnie.

— Jeśli to tak wygląda — rzekł po chwili namysłu — to może da się coś zrobić.

Mrugnął poufale i jeszcze bardziej nachylił się do Susan. Tego było już za wiele! Porwała swoją torebkę i zamierzając wstać z miejsca spytała nieufnie:

— Jak mam to rozumieć?

— *Senorita*, właśnie szukam dziewczyny do tych tutaj brzdąców. Umówiłem się już z taką jedną, ale nie przyszła. Jeśliby więc pani zechciała...

Susan podniosła się energicznym ruchem. Ten facet wcale nie szukał opiekunki do dzieci, tylko dziewczyny dla siebie do łóżka. Ale kiedy jej wzrok padł na Roberta i Emilię, którzy siedzieli wpatrzni w nią z niemym pytaniem w oczach, na powrót usiadła. Tym dwojgu na pewno brakowało miłości.

— Czy dzieci mają matkę?

— Ależ oczywiście — zapewnił skwapliwie mężczyzna.

— Ona jest po prostu bardzo zajęta i nie może się o nie troszczyć.

Mimo iż odpowiedź mężczyzny wydała jej się nie

całkiem przekonująca, Susan nieco się uspokoiła. A więc istniała pani de Silva. Już ona na pewno będzie uważać, aby jej mąż nie nagabywał opiekunki do dzieci. Mimo to myśl, że miałyby mieszkać pod jednym dachem z tym obleśnym człowiekiem, napawała ją wstrętem. Nie mogła ot, tak zwyczajnie przyjąć oferty pracy, choć bardzo jej na tym zależało.

— Panie de Silva — zdecydowanie zwróciła się do Meksykanina — ja...

Ale on jej znowu przerwał.

— Przepraszam, *senorita*, ja nie jestem ojcem tych dzieci. Nazywam się Alvaro Rivera i jestem ich wujem. Ich matką jest moja siostra, dona Sofia.

Susan spojrzała na niego podejrzliwie. Cóż to była za różnica? Jeśli dona Sofia mieszkała z dziećmi w tym samym domu co Alvaro, miejsce było nie do przyjęcia.

W tym momencie uchwyciła błagalne spojrzenie Roberta. Jego oczy wyrażały jedną wielką prośbę, by się zgodziła zostać ich opiekunką.

Przygryzła wargę.

— Jeśli zdecyduję się przyjąć tę pracę, to czy będę mieszkać przy rodzinie?

— Naturalnie. To duży dom, z liczną służbą. Będzie pani mieszkała z moją siostrą, jej mężem i dziećmi. Zresztą mój dom jest w pobliżu, *senorita*.

Zmarszczyła brwi. Ten obrzydliwy typ myśli zapewne, że tylko z jego powodu zamierzam przyjąć tę pracę!

— Jak do tego doszło, że to właśnie pana siostra wysłała na poszukiwanie kogoś do dzieci?

— Ma do mnie zaufanie. Wie, że dokonam odpowiedniego wyboru. — Jego uśmiezek wydawał się Susan nie do zniesienia. — A ja jestem przekonany, że pani znakomicie się do tego nadaje. Zdążyłem zauważyć, jak szybko pani zaprzyjaźniła się z dziećmi. Dawno nie widziałem

Emilii tak rozradowanej. Czasami wydaje mi się małą starą panną.

Pochylił się nad dzieckiem i pogłaskał je po głowie. Nie uszło uwagi Susan spojrzenie, jakie rzuciła mu spod oka Emilia. Mała najchętniej odtrąciłaby natrętą dłoń, ale nie śmiała.

Reakcja dziewczynki i proszące spojrzenie Roberta przesądziły sprawę. Susan wręcz czuła, że musi się zgodzić, po krótkim więc namyśle zwróciła się do Rivery:

— No cóż, przyjmę tę pracę.

— Cudownie, *señorita* — zawołał rozpromieniony mężczyzna i z całej siły uderzył w brzeg stołu. — Kiedy pani zacznie?

Jest pewny, że dopiął swego, pomyślała ze złością Susan, odpowiedziała jednak uprzejmie:

— Jeśli to państwu odpowiada, zaraz jutro.

— Oczywiście, że tak. Przekażę to mojej siostrze. Będzie czekać na panią jutro o dziewiątej rano.

Zapisała sobie na kartce adres rodziny de Silva. Siłąc się na uprzejmość uściskała Riverze na pożegnanie dłoń i uśmiechnęła się serdecznie do dzieci. Widać było, że są zachwycone.

W radosnym nastroju spacerowała ulicami. W tym momencie najchętniej wzięłaby w ramiona cały świat. Zostawała w Mexico City! Szansa na odnalezienie mężczyzny z samolotu nabrała realnych kształtów. Na pewno jej się uda!

3

Pattie zrobi wielkie oczy, myślała Susan wchodząc do hotelu. Koleżanka już jej wyczekiwała drżąc z niecierpliwości.

— Gdzieżeś ty się podziewała tak długo? Przecież zaraz musimy jechać na lotnisko. Co się stało takiego, że jesteś cała rozpromieniona?

— Pattie, polecisz sama do Nowego Jorku. Ja zostaję. Znalazłam pracę — krzyknęła Susan chwytając Pattie w objęcia.

Pattie na moment odebrało mowę.

— Spodziewałam się tego — rzekła wreszcie głucho. — Już dawno zauważyłam, że coś ci chodzi po głowie. Myślisz, że Mexico City przyniesie ci szczęście? — Wpatrzyła się w Susan pełnym z wątpienia wzrokiem. — No cóż... w porządku. Rób, jak chcesz, mam tylko nadzieję, że twoja decyzja nie została podyktowana chęcią ponownego spotkania tego faceta z samolotu. To przecież tak, jakbyś chciała znaleźć igłę w stogu siana.

Susan uśmiechnęła się niepewnie. Pattie jak zwykle miała nosa. Usiadła na brzegu łóżka czując, że musi się jakoś wytłumaczyć. Pattie czekała z zapartym tchem.

— To prawda — zaczęła z wahaniem — ale nie do końca. Z początku to rzeczywiście z jego powodu chciałam

zostać w Mexico City. Wyobrażałam sobie, że wtedy będę go mogła jeszcze raz spotkać. Lecz teraz jest coś więcej. Nagle uświadomiłam sobie, że muszę wyzwolić się ze starych układów, zobaczyć coś nowego, zakosztować innego życia niż to nasze na Manhattanie. Poza tym znudził mnie już notariat, to ciągle wystawianie dokumentów... Chcę wreszcie zacząć robić co innego, coś, co mi sprawi przyjemność. Może się uda. Widzisz, po prostu chcę zrzucić starą skórę.

Pattie wzruszyła z rezygnacją ramionami.

— Zachowujesz się jak egzaltowana panienka, a przecież już dawno nie jesteś małym dziewczątkiem. Ja w każdym razie nie myślę cię namawiać do powrotu. Wyświadczy mi tylko przysługę — ciągnęła z obojętną miną. — Zadzwoń do Shirley i powiadom ją o swojej decyzji. Nie mam ochoty ratować jej z omdlenia na lotnisku, gdy tam zawitam bez ciebie.

— Przrzekam, że to zrobię — oświadczyła z powagą Susan. Odprowadziła koleżankę na lotnisko i odczekała aż do momentu, gdy samolot wzbił się w powietrze.

Z niesłychanym uczuciem ulgi wróciła do hotelu. Wreszcie zaczynała nowe życie. Była wolna i niezależna, a przynajmniej tak się jej wydawało. Chcąc jak najszybciej zerwać resztę więzów z Nowym Jorkiem, od razu podeszła do telefonu. Po kilku nieudanych próbach, wśród trzasków na linii, wreszcie zgłosiła się Shirley.

— Halo, Shirley, to ja, Susan. Nie wracam do Nowego Jorku, słyszysz mnie? Znalazłam w Mexico City pracę i chcę tu na razie zostać.

Shirley zaniemówiła. Jej reakcja była zresztą do przewidzenia.

— Czy ty zwariowała? Co to wszystko ma znaczyć? — wystękała po długiej chwili nie posiadając się z oburzenia.

— Uważasz, że to szaleństwo? — Susan doskonale wiedziała, że tak łatwo nie przekona Shirley. — A ja mam wrażenie, że to najrozsądniejsza decyzja, jaką podjęłam w życiu. Musi mi się udać. A gdyby nawet nie, zawsze przecież mogę wrócić do Nowego Jorku.

Shirley zrazu nie odpowiedziała i Susan, przekonana, że połączenie zostało przerwane, już miała odłożyć słuchawkę, gdy znowu usłyszała jej roztrzęsiony głos.

Nagle stało się dla Susan jasne, że i jej ciężko rozstać się z przyjaciółką. Przełknęła ślinę i nie zważając na jej biadolenie gorączkowo się z nią pożegnała. Shirley zdążyła jeszcze krzyknąć:

— Czy mam zadzwonić do twojego szefa i oznajmić mu, że składasz wypowiedzenie?

Susan zrobiło się gorąco. O tym nie pomyślała. Zawałała się na moment, po czym zdecydowała:

— Nie, Shirley, ja sama z nim porozmawiam. — Napiśzę do ciebie. Może jeszcze kiedyś się zobaczymy. — Nie potrafiła powstrzymać łez.

Rozmowa z Mr. Friendem nie była długa i przybiegła tak, jak to Susan sobie wyobrażała. „Mr. Friend oczywiście nie chciał rezygnować z dobrej sekretarki, za mądry był jednak na to, by czynić Susan jakieś wyrzuty. Mimo to rozmowa wstrząsnęła dziewczyną. Raptem opadły ją ze zdwojoną siłą wątpliwości, które do tej pory tak skutecznie odsuwała od siebie. Co będzie, jeśli jednak nie zaaklimatyzuje się w Mexico City i będzie musiała ze spuszczoną głową wrócić do Nowego Jorku? I gdzie wtedy znajdzie taką dobrą pracę jak u Mr. Frienda?

Rozpląkała się na dobre. Czowała się taka samotna. Brakowało jej nawet wiecznego paplania Pattie. Położyła się spać kompletnie rozbita i zdeprimowana. Łkała w poduszkę, po trosze z żalu nad sobą, ale też i ze złości na

swoje ryzykowne postępowanie. Nigdy by siebie nie podejrzewała, że coś takiego może jej strzelić do głowy. Trwało długo, zanim tej nocy naprawdę usnęła.

Na szczęście następnego ranka wątpliwości rozwiały się. Co prawda Susan z przerażeniem myślała o czekającej ją rozmowie w rodzinie de Silva. Aż za dobrze wiedziała, na czym to będzie polegać. Zostanie surowo otaksowana pod kątem przydatności do pracy w charakterze opiekunki, i nie tylko. Musiała jednak przez to przejść. Chociaż do dziewiątej pozostało jeszcze sporo czasu, wyskoczyła z łóżka i zabrała się do przeglądania swojej garderoby. Na pierwsze spotkanie z rodziną de Silva chciała iść starannie ubrana, tym bardziej że prawdopodobnie byli bogatymi ludźmi. Niestety, tych kilka letnich sukienek, bez wyjątku głęboko wyciętych, nie za bardzo się do tego nadawało.

Rozłożyła je na łóżku, mierząc krytycznym wzrokiem. Po długim namyśle zdecydowała się na sukienkę bez rękawów, mimo iż ona też nie zyskała jej bezwarunkowej aprobaty. Nic się jednak nie dało zrobić. Nie mogła przecież iść w sukience koktajlowej, nadającej się bardziej do lokalu niż na przedpołudniową wizytę. Przynajmniej kolor nie był krzykliwy, jasny błękit zresztą doskonale pasował do jej włosów i uwydatniał wspaniałą opaleniznę.

Rzuciwszy jeszcze raz spojrzenie w lustro, utwierdzona w przekonaniu, że wygląda bardzo ładnie, Susan wzięła do ręki książkę, lecz tak była rozkojarzona, że nie docierało do niej nic z tego, co zdążyła przeczytać, nie mogąc doczekać się momentu wyjścia z hotelu. O wpół do dziewiątej zeszła z walizką do hallu, zamówiła taksówkę i uregulowała rachunek.

W parę chwil potem znalazła się w szacownej, zadbanej części miasta. Było tu cicho i spokojnie. W głębi ciągnących

się w nieskończoność ogrodów kryły się wille, swym wyglądem świadczące o zamożności ich mieszkańców.

Kierowca wysadził Susan przed bramą w biało otynkowanym murze. Dziewczyna stała przez chwilę niezdeterminowana, zanim sięgnęła po kołatkę. Zaraz potem przez okienko w skrzydle bramy wyrzała młodziutka meksykańska służąca, patrząc pytająco na Susan.

— Jestem Susan Adams. Dona Sofia de Silva oczekuje mnie — rzekła w miarę poprawną hiszpańszczyzną.

— *Un momento* — powiedziała przyjaźnie uśmiechnięta dziewczyna i po chwili Susan mogła wejść do środka.

Znajdowała się teraz w przepięknie utrzymanym ogrodzie. Między drzewami majaczyła okazała willa, do której prowadziła wysypana żwirem ścieżka. Przed frontem willi wesoło pluskała fontanna, której ocembrowanie tonęło w gąszczu kwiatów wydających upojną woń. Z pergoli tuż przed wejściem zwieszały się całe kaskady kolorowych kielichów powojnika, kołysząc się łagodnie na wietrze. Wokół domu ciągnęła się przestronna weranda, również obrosnięta kwiatami, wśród których było wiele nie znanych zupełnie Susan gatunków.

Susan była oszołomiona. Czyżby znalazła się w raju? Naraz usłyszała za sobą lekkie kroki i odwróciła się. Zbliżała się do niej piękna kobieta o pałających czarnych oczach i figurze tancerki flamenco, lecz wyraz jej twarzy i raczej piskliwy ton głosu sprowadził Susan z powrotem, na ziemię.

— To pani jest tą Susan Adams, która tu dziś miała przyjść w sprawie pracy?

Ze zmarszczonych brwi i niechętnego spojrzenia Susan wyczytała zdecydowane niezadowolenie.

— Tak, to ja. Pański brat mówił mi wczoraj, że potrzebuje pani kogoś do dzieci — powiedziała Susan uprzejmie.

— Mój brat! — prychnęła kobieta. — On nigdy nic nie potrafi dobrze załatwić. Ja nie potrzebuję jeszcze jednego dziecka, potrzebuję starszej doświadczonej osoby, która umiałaby się zająć moimi dziećmi — zachnęła się doña Sofia, lustrując Susan od stóp do głów.

Ładnie się zaczyna, nie ma co mówić, pomyślała Susan tłumiąc rozczarowanie. Przecież ta kobieta mnie w ogóle nie zna, jakże więc może mnie tak traktować? Mimo że wewnątrz cała dygotała ze złości, zdobyła się na uśmiech.

— Przykro mi, że wydaję się pani za młoda. Tak naprawdę mam już dwadzieścia trzy lata. Pani dzieci poznałam całkiem przypadkowo. Są słodkie.

Te słowa nie zrobiły jednak najmniejszego wrażenia na Sofii. Susan gorączkowo myślała, co mogłoby wzruszyć tę zimną kobietę. Może była czuła na pochlebstwa. Susan co prawda gardziła takimi metodami, cóż jednak miała robić. Należało spróbować.

— Szczególnie Emilia jest wyjątkowo ładną dziewczynką. Będzie kiedyś tak piękna jak pani — powiedziała z przypochlebnym uśmiechem.

Udało jej się tym razem trącić właściwą strunę. Doña Sofia była zrozumiata i zapatrzona w siebie. Teraz wyglądała na udobruchaną. Jej oczy zabłyśły dumą.

Zastanowiło to Susan. Czyżby doña Sofia upatrywała w niej rywalkę? Jej samej trudno było sobie wyobrazić, że mężczyzna mógłby ją w ogóle zauważyć obok tak atrakcyjnej, rzucającej się w oczy kobiety. Zdawało jej się, że ona sama musi pozostać w cieniu: polny kwiat obok rozkwitłej przepysznie róży.

— *Senorita Adams* — zawołał nagle dziecięcy głos i Susan zobaczyła Roberta wybiegającego z domu na jej powitanie. Gdy zobaczył matkę, stanął niezdecydowany, a z jego twarzy znikł uśmiech. Skłonił się poważnie przed

Susan i podał jej rękę, tylko błyszczące oczy zdradzały, jak się cieszy z tego spotkania.

W chwilę potem w drzwiach pojawiła się Emilia. Dona Sofia zobaczywszy małą na powrót wpadła w złość.

— Emilio! — wycedziła. — Jak ty wyglądasz! Znowu potargałaś sukienkę! Tobie to w ogóle nie opłaci się sprawiać nic ładnego. Tak się staram, a ty i tak wyglądasz jak dziecko z ulicy! — W przekonaniu Doni Sofii była to największa hańba.

Zawstydzona Emilia spuściła głowę, starając się zasłonić drżącymi rękami naderwany obrąbek sukienki. Dopiero teraz Susan zauważyła, że dziecko ma nogę unieruchomioną szyną. Jej brzeg musiał być wyjątkowo ostry, stąd całe nieszczęście. Zrobiło jej się serdecznie żal małej.

Twarz Roberta skamieniała. Jego uparte spojrzenie mówiło wyraźnie, że najchętniej by powiedział matce parę słów. Spojrzał ukradkiem na Susan, a gdy zobaczył współczujący uśmiech na jej twarzy, natychmiast się rozjaśnił.

— Emilio, seniorita Adams jest tutaj. Teraz już zawsze będziemy się mieć z kim bawić.

Emilia nieśmiało podniosła oczy na Susan.

— To wcale jeszcze nie jest pewne, czy ona tu zostanie — rzuciła bez ogródek dona Sofia. W jej oczach migotały złe błyski. Naraz coś jej widocznie musiało przyjść do głowy, gdyż patrząc przenikliwie na Susan rzekła wyniośle:

— To prawda, pilnie potrzebuję kogoś do dzieci, tym bardziej że właśnie wyjeżdżam na dłużej. Ostatecznie więc niech już pani zostanie. Na razie na miesiąc, kiedy mnie tu nie będzie, a później się zobaczy.

Co za łaskawość, pomyślała zaciskając wargi Susan. Najchętniej by się odwróciła na pięcie i odeszła, lecz dona Sofia nie dała jej na to czasu, oświadczając rozkazującym tonem:

— Będzie pani jadła razem z dziećmi. Tylko wtedy gdy mój mąż i ja będziemy sobie tego życzyć, zasiądzie pani z dziećmi przy naszym stole. Zaraz przyślę tu Constanzę; pokaże pani pokój.

Odwróciła się i bez jednego życzliwego słowa skierowanego do Susan wróciła do domu. Susan patrzyła za nią zgrzytając zębami.

— Nawet w czasach naszych prababek nie mogło być gorzej — mruknęła do siebie z ironią. — Teraz jeszcze w tej rodzinie brakuje zmanierowanego młodego człowieka, który za wszelką cenę będzie mnie chciał zaciągnąć do łóżka, a później porzucić. Oto są nobliwi państwo, którzy pomiatają pracownikami i służbą. — W Susan wszystko się gotowało.

Na szczęście zjawiała się Constanza i uśmiechnęła życzliwie. Była to ta sama dziewczyna, która otworzyła jej bramę. Wzięła walizkę Susan i poprosiła, aby iść za nią. Wstąpiły po schodach i ruszyły długim korytarzem do końca. Tam Constanza otworzyła jakieś drzwi i zaprosiła ją do środka. Miły jasny pokój wynagrodził Susan nieprzychylnie przyjęcie, jakie zgotowała jej *senora* Sofia. Nie był duży, lecz bardzo przytulny i ładnie urządzone. Z przyjemnością oglądała kunsztownie toczony stół stylowego łóżka i bogate ornamenty na szafie. Natychmiast też wypróbowała fotel i z rozkoszą przeciągnęła dłonią po blacie małego stolika z oryginalną lampką do czytania.

— *Señorita*, czy pani od zaraz zajmie się dziećmi? — spytała Constanza wychodząc.

— Tak — odpowiedziała Susan. — Mam nadzieję zostać tu dłużej niż miesiąc. Ale najpierw czeka mnie okres próbny.

— Życzyłabym sobie tego z całego serca, *señorita* — westchnęła Constanza. — Dzieciom koniecznie trzeba

kogoś, kto by się nimi zajął i okazał im trochę serca. Z reguły są same.

Susan chciała wykorzystać nadarzącą się okazję i zadać Constanzy jeszcze parę pytań, lecz nagle rozległo się pukanie do drzwi i ukazała się w nich głowa Roberta.

— Emilio, ona jest tutaj! — krzyknął. — Wiedziałem!

Przypadł do Susan i objął ją tak gwałtownie, że zatoczyli się razem na łóżko. Za chwilę było ich tam już troje — dołączyła do nich Emilia.

Teraz już Susan wiedziała, jakie zadanie czeka ją w najbliższym czasie. Postawiła sobie" za cel obdarzyć dzieci miłością, jakiej nie zaznały od rodziców.

RRS

4

Gdy dona Sofia wyjechała następnego dnia do swej posiadłości ziemskiej w Oaxaca, wszyscy w domu odetchnęli z ulgą. Szczególnie dzieci wydawały się cieszyć z jej nieobecności. Były wesołe i znakomicie się bawiły, wiedząc, że nie czeka je reprimenda za byle drobiazg.

Pierwszego dnia Susan starała się nie spuszczać Emilii z oka, ponieważ ciągle jej się zdawało, że dziewczynka, której bardzo przeszkadzała w zabawie chora noga, może sobie zrobić coś złego. Emilia, przy swoich pięciu latach, okazała się jednak rozważną dziewczynką, która doskonale wiedziała, co jej wolno, a co nie. Susan nie miała więc wiele pracy z tymi w gruncie rzeczy niewymagającymi, łaknącymi miłości dziećmi. Zaprzyjaźniła się z nimi bardzo i przebywanie w ich towarzystwie sprawiało jej przyjemność. Dni szybko mijały i Susan nie miała za wiele czasu na rozmyślanie, zajęta nowymi obowiązkami.

Szczególnie pierwsze godziny pobytu u rodziny de Silva zapisały się w jej pamięci. Dzieci przedstawiły jej wszystkich domowników po kolei, po czym zaprowadziły ją do ogrodu, gdzie usiadła z nimi na trawie.

— Teraz już zna pani wszystkich — oświadczył Roberto. — Kucharka ma na imię Guadalupe, a pomaga jej

Conchita. Widziała też pani lokaja Gonsalvesa i oczywiście Constanzę: to nasza pokojówka.

Roberto podniósł do góry cztery palce na znak, że Susan musi zapamiętać imiona czterech osób.

— Ależ Roberto, widziałam jeszcze jedną kobietę — potrząsnęła głową Susan.

— Pani chyba myśli o Lucii. — Ze sposobu, w jaki wymówił to imię, i z towarzyszącego mu skrzywienia ust nietrudno było wywnioskować, że nie cierpi tej dziewczyny. Dopiero później Susan odkryła, że była to zaufana doń Sofii, tak samo twarda i nieprzystępna jak jej pani. Ona też wiecznie strofowała dzieci, nie dziw więc, że jej nienawidziły.

— Dalej mi tutaj kogoś brakuje — rzekła Susan po namyśle. — Kogoś bardzo ważnego. Waszego taty.

Dzieci umilkły zakłopotane, ledwie wymówiła te słowa, a Emilia nawet rozplakała się. Roberto też walczył ze Izami, lecz został na miejscu, gdy tymczasem Emilia bez słowa pokuściła do domu.

Susan naprawdę się przeraziła.

— Roberto, czy powiedziałam coś złego? — spytała zmieszana milczeniem chłopca.

— To nie pani wina, señorita — rzekł bezdźwięcznym głosem Roberto. — Nasz tato nie żyje... od niedawna. Mamy teraz wujka Diego. Owszem, jest miły... lecz to nie to samo...

Mój Boże, pomyślała w popłochu Susan, co mnie napadło, że o to zapytałam?! Pocieszającym gestem położyła chłopcu rękę na ramieniu, niezdolna powiedzieć choćby jednego słowa. Gdy się uspokoił, poszli razem poszukać Emilii.

W chwilę potem dzieci zapomniały o łzach. Emilia gawędziła teraz całkiem swobodnie o wujku Diego, Roberto wtrącał się od czasu do czasu w celu wyjaśnienia czegoś,

aby Susan mogła zrozumieć, o co chodzi. Z opowiadania dzieci wynikało, że wujek Diego chętnie się z nimi bawi i że dobrze się czują w jego towarzystwie, wywnioskowała jednak z paru luźno rzuconych słów, że często wyjeżdża i nie może za wiele czasu im poświęcać. Jakie to typowe, myślała niechętnie, ludzie więcej myślą o swych interesach niż o dzieciach. Mimo to pocieszyło ją nieco, że Roberto i Emilia lgną do ojczyzna.

W dniu kiedy mieli wrócić dona Sofia i don Diego, zapanowało w domu gorączkowe podniecenie. Prano, szorowano, gotowano z wyjątkową gorliwością. Susan odnotowała w myśli, że wszyscy naokoło mówią tylko o don Diego. Imienia doni Sofii nie wymieniał nikt, oprócz Lucii, ale ta była wyjątkowo nie lubiana. To znamienne, dziwiła się, don Diego musi być więc bardzo miłym człowiekiem. Że też trafił na taką lodowatą kobietę jak doña Sofia...

Szczególnie dzieci nie mogły się wprost doczekać przybycia wujka, założyły się nawet, które z nich pierwsze go zobaczy.

Susan również dała się zarazić ową radością oczekiwania. Mimo iż nie uczestniczyła w zakładzie, to właśnie ona pierwsza zobaczyła don Diega. Siedziała w ogrodzie, gdy nagle doszedł ją odgłos otwieranej bramy. Na wysypanej żwiru alejce ukazał się wysoki szczupły mężczyzna. Nawet z daleka Susan mogła dostrzec, jak bardzo jest przystojny. W jednej ręce trzymał doniczkę z jakąś rośliną, w drugiej niósł aktówkę. Szedł szybko i nie zauważył Susan.

Był właśnie przy fontannie, gdy rozległ się rozradowy, ny dziecięcy głos. Emilia stała na werandzie i wymachiwała dziko ramionami.

— Wujek Diego! Wujek Diego! Roberto, wygrał!

zakład! To ja zobaczyłam go pierwsza! — krzyczała nie posiadając się z radości.

W tym momencie wypadł z domu Roberto. Wujkowi Diego wystarczyło tylko czasu, aby odstawić na bok aktówkę i doniczkę, a już chłopiec był w jego ramionach. Emilia podskakiwała śmiesznie dookoła, starając się zwrócić na siebie uwagę.

— Wasza mama poszła jeszcze do wujka Alvaro. Wróci za chwilę — powiedział don Diego bez tchu. Ceremonia powitania wyraźnie go zmęczyła.

— Słyszałem, że macie nową opiekunkę — wydyszał przychodząc do siebie.

— Tak. Susan jest chyba w ogrodzie — odrzekł Roberto szukając jej wzrokiem.

— To ja — uśmiechnęła się Susan podchodząc bliżej.

Ujrzawszy ją don Diego wyraźnie drgnął. W jego oczach malowało się najwyższe zdumienie. Wpatrywał się w nią wyraźnie osłupiały i wreszcie, zamiast się z nią przywitać, krzyknął z gniewem:

— Jak pani śmiała wziąć na siebie taką odpowiedzialność?! Jest pani o wiele za młoda, by wychowywać dzieci. Przykro mi, lecz będzie pani musiała natychmiast opuścić mój dom!

Susan stała jak sparaliżowana, nie mogąc pojąć, dlaczego tak gwałtownie zareagował na jej widok. Przecież jej nigdy wcześniej nie widział, nie miał więc pojęcia, co sobą reprezentuje. Wręcz przysięgłaby, że musi mu chodzić o zupełnie co innego. Ale o co? W każdym razie zachował się niegrzecznie. I to wobec Bogu ducha winnej osoby. Jakim prawem śmiał ją wyrzucać?! Ona za młoda? Ona nieodpowiedzialna? Niech lepiej pilnuje swego nosa! Kto w ostatnich tygodniach troszczył się o dzieci? On na pewno nie.

Łamiącym się ze wzburzenia głosem zwróciła się do dzieci:

— Roberto! Emilia! Idźcie powiedzieć Guadelupe, że wasi rodzice właśnie wrócili. — Widziała ich szeroko otwarte ze zdziwienia oczy i nie chciała, by stali się świadkami dalszego ciągu tej niemiłej sceny. Ona sama przygotowana była na najgorsze.

— Don Diego! — Susan spojrzała na mężczyznę błyszczącymi gniewnie oczami. — Może ma pan rację twierdząc, że jestem za młoda, aby sprawować opiekę nad dziećmi. Zanim jednak pan uzna, że przeceniam siebie podejmując się takiej rzeczy, niech się najpierw pan upewni, czy w czasie pańskiej nieobecności stała się dzieciom jakaś krzywda. Ja ze swej strony jestem absolutnie przekonana, że wykonuję swe obowiązki z pełną odpowiedzialnością. — Przerwała, aby zaczerpnąć tchu. Don Diego nie odrywał od niej wzroku. — Chciałabym też zwrócić panu uwagę, że to pańska żona mnie zatrudniła, a nie pan! Opuszczę ten dom natychmiast, gdy ona zdecyduje, że mam odejść, wcześniej na pewno nie!

— Skończyła już pani, *senorita*? — Twarz Don Diega była śmiertelnie blada, na czole osiadły grube krople potu.

— Tak — rzekła cierpko. — Nie mam nic więcej do powiedzenia, poza tym, że uważam pańskie zachowanie wobec mnie za wielce niestosowne.

Było jej obojętne, co don Diego o niej pomyśli. Roztrzęsiona odwróciła się zamierzając odejść.

— Chwileczkę! Teraz niech pani posłucha, *senorita*! Jest pani po prostu bezczelna. Z góry oświadczam, że nie dopuszczę, aby pani zajmowała się moimi dziećmi! Nie życzę sobie, by przyswoiły sobie taki ton.

— Dzieci nie potrzebują się niczego uczyć ode mnie. bo swój pogląd na życie zdążyły sobie wyrobić już dużo wcześniej — uniosła się. — Jesteście wobec nich bez serca, a one tak potrzebują miłości. — Jej głos się załamał

i przeszedł w urywany szloch. — A ja... ja starałam okazać im- odrobinę uczucia, bo naprawdę je lubię...

Nagle w ostrą wymianę zdań wmieszał się wysoki kobiecy głos.

— Diego, kochany! Widzę, że poznałeś nową opiekunkę do dzieci — powiedziała słodko dona Sofia, choć Susan przysięgłaby, że z nutką ironii. — Zdążyłam już usłyszeć o niej wiele dobrego. To prawdziwa perła. Dzieci są nią zachwycone!

— Dona Sofia, właśnie zamierzałam spakować swoje rzeczy i odejść — rzekła beznamiętnie Susan. — Pani mąż niestety jest innego zdania, uważa, że się do tego nie nadaję. Właśnie mi oświadczył, że nie chce mnie już tutaj więcej oglądać.

Dona Sofia uniosła ze zdziwieniem swe starannie wyskubane brwi, lecz widać było, że rozkoszuje się nieprzyjemną dla Susan sytuacją. W jej oczach widniał nieklamany tryumf. Ona naprawdę uważa mnie za rywalkę, przemknęło przez głowę Susan.

— Ależ na Boga, Diego! — zwróciła się do męża kładąc mu uspokajającym gestem rękę na ramieniu. — To nieprzemyślane posunięcie. Upewniłam się, że *senorita* Adams wypełnia skrupulatnie swoje obowiązki. Wygląda na to, że dzieci są już bardziej przywiązane do niej niż do mnie. Nigdy nam nie darują, gdy ją odprawimy.

Diego spojrział zdziwiony na żonę. Jej wzrok go zastanowił. Mruknął coś niechętnie pod nosem, gniewnie zaciskając usta, po czym zwrócił się do Susan:

— *Senorita* Adams, jeśli to tak wygląda, muszę panią prosić o wybaczenie. Zachowałem się jak ostatni gbur, wiem o tym. Mimo to mam nadzieję, że pani jednak zostanie. Musiała pani chyba zaczarować te dzieci — do dał z niepewnym uśmiechem.

Nagle jakby opadło z niego całe zdenerwowanie. Wziął swoją żonę pod rękę. Dona Sofia rozpromieniła się.

— Kochanie, będziemy dzisiaj świętować. Całkiem sami! Każę Guadalupe przygotować wyszukaną kolację. Co o tym sądzisz? — przymilała się.

Don Diego powiedział coś, czego Susan nie zrozumiała, a dona Sofia rzuciła na nią odchodząc protekcyjnalne spojrzenie. Dla tych dwojga sprawa była załatwiona, lecz ona sama długo jeszcze nie mogła przyjść do siebie.

Susan stała przed lustrem przyglądając się krytycznie swemu odbiciu. Zachodziła w głowę, dlaczego zarówno dona Sofia, jak i don Diego w pierwszej chwili na jej widok wpadli w złość. Czyżby rzeczywiście była za młoda? Skądże znowu, przecież już dawno przestała być nieopierzoną nastolatką.

A może było coś niestosownego w jej stroju? Z uwagą przyjrzała się swej kolorowej sukience ze sporym dekoltem. Może osoba zajmująca się dziećmi powinna być zapięta pod szyję? Chyba nie... W każdym razie jednak Susan postanowiła przeznaczyć swoją pierwszą wypłatę na zakup nowego ubrania.

Następnego dnia dona Sofia rzeczywiście wręczyła Susan pieniądze za ubiegły miesiąc. Dziewczyna wykorzystała okazję, żeby o coś zapytać:

— Dona Sofia, czy mogłabym kupić dzieciom dzinsy? Ciągłe się boję, że podczas zabawy zniszczą swoje piękne drogie ubranka.

— Czy to oznacza, że zamierza się pani czołgać z dziećmi po ziemi? — spytała ironicznie dona Sofia, mimo to łaskawie wręczyła jej jeszcze kilka banknotów.

Susan rozgniewała ta złośliwa uwaga, przywołała jednak na twarz uprzejmy uśmiech darując sobie odpowiedź.

Emilia i Roberto aż podskoczyli na wieść o czekających ich zakupach. Kiedy wreszcie wyszli, dosłownie tańczyli z radości wokół Susan. Po drodze można było zobaczyć tyle ciekawych rzeczy! Dla dzieci wychowanych w lodowatej atmosferze wspaniałej willi wszystko było atrakcją.

— *Señorita*, chodźmy na bazar — błagała Emilia. — Tak bardzo proszę. Constanza nas zawsze odciąga nie pozwalając podejść bliżej, kiedy tamtędy przechodzimy.

Susan nie umiała pozostać nieczuła na błagalne spojrzenia dzieci. Aż za dobrze wiedziała, ile się muszą prosić, zanim ich nawet najdrobniejsze życzenie zostanie spełnione. Jej w każdym razie nie trzeba było namawiać. Lubiła takie miejsca, więc ująwszy rozgorączkowane dzieci mocno za ręce wmieszała się z nimi w żywiołowo gestykulujący tłum.

Zawsze ją urzekały barwy i zapachy tego miejsca. Na długich straganach lśniły misternie ułożone piramidy owoców i warzyw. W powietrzu krzyżowały się krzyki sprzedawców zachwalających towar, przyprawy, ryby i całe sterty łakoci wydawały oszalamiające zapachy.

Susan z dziećmi, popychana przez tłum, wędrowała od straganu do straganu. Na jej policzkach wykwitł delikatny rumieniec. Jakiś sprzedawca kwiatów, widząc jej rozradowaną, promienną twarz, wetknął jej w przelocie we włosy pachnący goździk.

Na moment zatrzymała się przy stoisku z ceramiką, biorąc po kolei kilka przedmiotów do ręki, by się im dokładniej przyjrzeć. Naraz odniosła wrażenie, że ktoś ją obserwuje. Dreszcz podniecenia przebiegł jej po plecach, serce zaczęło bić jak oszalałe. Brodaty mężczyzna z samolotu! Jest tutaj, na pewno. Co będzie, jak się teraz odwróć? Grając na zwłokę udawała, że ogląda jakąś wazę, lecz jej ręce drżały podejrzenie, więc co prędzej

odstawiła cenną rzecz na miejsce. Przemogła strach i obejrzała się.

Lecz mimo iż jej oczy uparcie poszukiwały znajomej twarzy w tłumie, obcego nigdzie nie było, tylko w pobliżu, ku swemu niezadowoleniu, odkryła don Diega wręczającego właśnie sprzedawcy pieniądze. To dziwne, ale odetchnęła przy tym z ulgą, ganiąc siebie w duchu, że jest taką głupią gąską, która ugania się za mrzonką.

Don Diego widocznie jeszcze jej nie zauważył. Targował się teraz z jakimś innym przekupniem. Dzieci jednak były szybsze, zdążyły już odkryć ukochanego wujaszka, więc zaczęły ciągnąć Susan w jego stronę.

On też już ich zobaczył i ruszył w ich kierunku torując sobie drogę w tłoku.

— No proszę, co za spotkanie! *Señorita* Adams i dwoje naszych dzielnych Indian. — Wyglądał na rzeczywiście uradowanego, lecz Susan zmierzyła go podejrzliwym wzrokiem. Był to ten sam mężczyzna, który urządził jej poprzedniego dnia taką awanturę! Cóż tak nagle go odmieniło? — Mały spacer po bazarze, co? Mogę się przyłączyć?

Jego propozycja wcale nie spodobała się Susan. Źle się czuła w obecności tego człowieka, który tak bez powodu na nią napadł, nie było jednak odwrotu. Chcąc nie chcąc musiała znosić jego towarzystwo, wzruszyła więc tylko w duchu ramionami postanawiając nie zwracać na niego uwagi. Za to dzieci były rozanielone.

Don Diego ujął Emilię za rękę, Roberto uczepił się Susan. Ledwie zdążyli ująć parę kroków, co wcale nie było łatwe w panującej ciżbie, gdy zatrzymał ich handlarz owoców wyciągając w ich kierunku tackę z plasterami ananasa. Don Diego sięgnął od razu po kawałek, zachęcając Susan i dzieci, aby uczyniły to samo. Smak jasnożółtego owocu był niezrównany!

Don Diego roześmiał się widząc spryskaną sokiem

twarz Susan i zaferował jej swoją chusteczkę, spoglądając przy tym na nią porozumiewawczo.

Zmieszana patrzyła na stojącego przed nią mężczyznę, myśląc gorączkowo, dlaczego wbrew złożonym w duchu przysięgom nie żywi już do niego niechęci. A jeszcze przed chwilą uważała za karę konieczność przebywania w jego towarzystwie! W jego sposobie bycia odnalazła coś zniewalającego. Don Diego potrafił być czarujący!

Zarumieniona po czubki włosów spuściła wzrok, a gdy się wreszcie odważyła spojrzeć, don Diego doprowadzał właśnie do porządku buzie dzieci.

Tuż przed wyjściem Susan odkryła stoisko z wyrobami ze srebra, które oślepiająco błyszcząły w słońcu. Dała don Diegowi znak, aby się zatrzymali, a sama przecisnęła się do lady. Zafascynowana oglądała misternie wykonane przedmioty i ozdoby, doskonale wiedząc, że meksykańskie wyroby ze srebra są znane na całym świecie. Szczególnie spodobał jej się jeden mały wisiołek. Był to orzeł z szeroko rozpostartymi skrzydłami, zawieszony na artystycznie wykonanym łańcuszku. Zapytała o cenę, lecz gdy ją usłyszała, odłożyła ozdobę przecząco kręcąc głową. Nie mogła przecież wydać na jeden drobiazg całej swojej miesięcznej pensji.

— Naprawdę, *señorita* Adams, to nie jest wcale wygórowana cena — usłyszała za sobą głos don Diega.

— Na coś takiego muszę pracować cały miesiąc. Nie, nie mogę sobie na to pozwolić — oświadczyła kategorycznie Susan.

Naraz wmieszal się Roberto.

— Wujku Diego, wujku Diego, niech wujek kupi ten łańcuszek *señoricie* Adams, bardzo proszę!

Susan gorąco zaprotestowała. Okazało się jednak, że nie zna jeszcze diega de Silva. Gdy raz wbił sobie coś do głowy, trudno go było od tego odwieść.

A Diego de Silva postanowił spełnić życzenie chłopca.
— Proszę mi wyświadczyć uprzejmość i przyjąć tę błyskotkę w prezencie ode mnie. Ostatecznie przecież powinienem panią przeprosić za tę wczorajszą historię. A jeśli pani nie chce przyjąć tego ode mnie, proszę to uznać za wyraz naszej gościnności.

Susan wzbraniała się, lecz don Diego wcale się tym nie przejął.

— Niech pan nie pakuje — rzekł do sprzedawcy wręczając mu pieniądze. — Señorita Adams to włoży.

— Nie, nie zrobię tego — upierała się Susan.

Don Diego rzucił jej pełne wyrzutu spojrzenie i wskazał na dzieci.

— Kłótnie dorosłych nie powinny mieć miejsca w obecności dzieci, zgadza się pani ze mną?

Susan była zbita z tropu. Bez słowa, nie opierając się więcej, pozwoliła sobie zawiesić na szyi łańcuszek.

— A teraz pójdziemy kupić dzinsy — przypomniał Roberto.

— Co ja słyszę! — pokręcił głową don Diego.

— Emilia i ja dostaniemy najprawdziwsze dzinsy. Mama pozwoliła! — krzyknął chłopiec tryumfalnie.

— Idę z wami — oświadczył don Diego, tym razem jednak napotkał zdecydowany sprzeciw Susan. Nie chciała, aby asystował przy jej własnych zakupach. Wreszcie ustalili, że don Diego pójdzie dzieciom kupić dzinsy, a ona rozejrzy się za czymś dla siebie, po czym się spotkają.

W absolutnym więc spokoju Susan kupiła sobie białą sukienkę z bolerkiem w pięknym kasztanowym odcieniu i kazawszy zapakować starą wyszła w niej na ulicę. Spacerowała teraz wolno, ciesząc się każdą minutą. Kiedy przyszła na miejsce spotkania, don Diego już czekał na nią z dziećmi.

Susan, spóźniwszy się parę minut, spodziewała się

zastać zniecierpliwionego mężczyznę, a tymczasem don Diego siedział spokojnie na ławce z ożywieniem rozmawiając z dziećmi.

— Ależ pani szalowo wygląda — zauważył don Diego.
— Do twarzy pani w tej sukience. — Poczula się za kłopotana widząc jego pełen podziwu wzrok, sprawiło jej to jednak przyjemność.

Roberto i Emilia mieli na sobie nowiutkie dzinsy i podkoszulki. Z dumą kazali się Susan oglądać z każdej strony. Emilia co prawda uważała, że spodnie są nieco za sztywne, ale niezmiernie cieszył ją fakt, że nie widać znieawidzonej szyny.

— A teraz idziemy do parku Chapultepec. Co wy na to? — oznajmił raczej niż spytał don Diego.

Dzieciom pomysł wyjątkowo się spodobał. Susan też nie dała się długo prosić. Emilia i Roberto znali drogę, poszli więc przodem. Susan i don Diego postępowali w pewnej odległości.

— Sądzę, że nasz park można porównać z Central Parkiem w Nowym Jorku — powiedział don Diego.

— Raczej nie — pokręciła głowę Susan. — Central Park to niebezpieczne miejsce. Przewijają się tam różni ludzie, nie brak też typów spod ciemnej gwiazdy. Nie odważyłabym się tam sama spacerować.

— Tutaj nie jest inaczej.

— Ja natomiast jestem zachwycona Mexico City, choć nigdy w swej naiwności nie podejrzewałam, że ma tak nowoczesne dzielnice.

— Za to na wsi żyje się jeszcze niemal jak w średniowieczu. Mamy zbyt mało szkół, wielu ludzi jest po prostu analfabetami.

Don Diego potrafił ciekawie mówić. Susan słuchała z zainteresowaniem. Niewiele przecież wiedziała o historii Meksyku i jego kulturze.

Dzieci tymczasem stały już przy bramie parku czekając niecierpliwie. Gdy tylko zobaczyły dorosłych, zniknęły za wielkimi rozłożystymi drzewami, z których wiele musiało mieć po kilkaset lat. Don Diega wyraźnie cieszyło, że Susan stawia mnóstwo pytań. Widząc w niej taką chęć poznania zaproponował wspólne zwiedzanie muzeum. Oglądając zabytkowe rzeczy Susan przy okazji dowiedziała się wiele z przeszłości kraju, w którym się znajdowała. Usłyszała o rewolucji z 1810 roku oraz o okresie do roku 1917, kiedy to ogłoszono nową konstytucję.

Na końcu odkryli wielkie okrągłe pomieszczenie, którego surowe chropowate ściany połyskiwały ciemną czerwienią. Tonęło w cieniu, tylko od strony kopuły wpadało przez czterokątną czerwoną szybę trochę światła.

Susan musiała najpierw przyzwyczać oczy do panującego tu półmroku. W skupieniu dotykała ścian, podziwiając zarazem wspaniałe sklepienie. Raptem drgnęła zdziwiona wskazując na środek kopuły.

— Mój orzeł! — zawołała.

— Orzeł jest godłem Meksyku — skwapliwie wyjaśnił don Diego. — Chce pani usłyszeć związaną z nim legendę?

Zaciekawiona skinęła głową.

— Przed wiekami przybyli w te strony Aztekowie szukając miejsca, gdzie mogliby się osiedlić. Wędrowali tak na polecenie swego boga, który oznajmił im, że powinni osiąść na wyspie, a znakiem rozpoznawczym, że jest to właśnie owo miejsce, miał być siedzący na opuncji orzeł w węźem w dziobie. Kiedy Aztekowie przybyli nad wielkie jezioro, na jednej z wysp odkryli piętrzącą się w niebo skałę, a na niej coś, co przypominało kaktus. W nadziei, że dotarli wreszcie do celu, zbudowali tratwy i przeprawili się na wyspę. Ku nieopisaney radości stwierdzili wtedy, że się nie omylili. Ze skały rzeczywiście wyrastała olbrzymia opuncja, na której wierzchołku dojrzeli orła trzymającego

na dziobie żywego węża. Ukłękli więc zanosząc dziękczynne modły do swego boga i wzniesli na wyspie miasto nazywając je Tenochtitlan. Dziś pozostały po nim tylko ruiny, a nazwa oznacza dosłownie: „miejsce, na którym kaktus wyrasta ze skały”.

Susan zasłuchiwała się, zapatrzona w przesuające się przed jej oczami, wyczarowane opowiadaniem obrazy, że głos don Diega zdawał się docierać do niej z bardzo daleka.

— Zrobimy kiedyś wycieczkę do tego legendarnego miejsca. To niedaleko stąd — rzekł, a Widząc, że dziewczyna go nie słyszy, wziął ją łagodnie pod ramię. Drgnęła i spojrzała na niego oszołomiona. Potrzebowała czasu, aby powrócić do teraźniejszości. Diego ponowił propozycję, Susan jednak stanowczo odmówiła.

— Nie, dziękuję. Wolę pojechać tam sama.

— Rozumiem — nie nalegał, lecz nie uszło jej uwagi, że jest rozdrażniony. W każdym razie postanowiła się nie dać odwieść od tego zamiaru. Przecież otrzymała znak; postacie z opowiadanej przez don Diega legendy zlały się przed oczami jej duszy w obraz szczupłego brodatego mężczyzny o spojrzeniu, w którym czaiła się milcząca rozpacz. Niejasne przeczucie mówiło jej, że spotka tajemniczego nieznajomego w Tenochtitlan.

5

Susan nie mogła się doczekać dnia, w którym miała zwiedzić legendarne miasto ruin. Aby się do tego dobrze przygotować, przeczytała nawet kilka książek. Między innymi dowiedziała się, że to miasto nazywa się obecnie Tenotihuacan i oczywiście jest prawdziwą Mekką wszystkich turystów odwiedzających Meksyk.

Wreszcie marzenie miało się ziścić, otrzymała wolny dzień. Zrobiła wszystko, aby dostać się tam z samego rana, a teraz jak urzeczona chłoneła atmosferę wymarłego miasta. Zamknęła oczy i przeniosła się w czasy, kiedy wzdłuż cichych teraz ulic wznosiły się tętniące życiem domy. Gdy na powrót otworzyła oczy, uderzyło ją piękno tego miejsca, jedyne w swym rodzaju.

Nad ruinami wznosiła się potężna Piramida Słońca. U jej szczytu znajdowała się, w czasach Azteków świątynia. Prowadziły tam dobrze jeszcze zachowane wąskie schodki. Niezliczone stopnie widniały na fasadzie frontowej, które oglądane z dołu stawały się coraz węższe, aby wreszcie zniknąć z oczu gdzieś w górze.

Susan była pod wrażeniem monumentalnej budowli-Jak w transie wspięła się na kilka stopni. Znowu poczuła się przeniesiona w przeszłość. To tutaj na cześć Boga-Słońce złożono w ofierze niesłychaną liczbę istnień ludzkich.

Wydało jej się nawet, że słyszy modły zanoszone przez kapłanów. Kapłani, a za nimi procesja wiernych wspinali się po stopniach coraz wyżej, aż do wrót świątyni. Im wyżej docierali, tym bardziej stawało się to niebezpieczne. Schody zwęzły się, nie było żadnej poręczy, której można by się było przytrzymać. Kto nie uważał, spadał w przepaść. Susan zakreśliło się w głowie.

— *Señorita Adams!* Źle się pani czuje? — Ten głos już gdzieś słyszała. Uczuła, że ktoś chwyta ją za ramię i sprwadza ze schodów. Mając obłądną nadzieję, że to mężczynna z samolotu, nie spieszyła się z otwarciem oczu. Tak się bała zawodu! Kiedy wreszcie je otworzyła, spojrzała prosto w nabrzmiałą, zaczerwienioną twarz Alvaro Rivery. Wzdrygnęła się, jakby ujrzała ducha, i jednym szarpnięciem rzuciła jego rękę ze swego ramienia.

— Meksykańskie słońce prawdopodobnie nie służy takiemu jasnowłosemu stworzeniu jak pani — zauważył Rivera. W jego śmiechu było coś z kpiny.

Brutalnie odarta z marzeń, Susan najchętniej by stamtąd uciekła, nie chciała jednak okazać się niegrzeczna. Westchnąwszy w duchu przyoblekła twarz w uprzejmy uśmiech.

— Dziękuję, panie Rivera. Rzeczywiście zrobiło mi się niedobrze. — Cóż mi miała powiedzieć? — Zresztą jestem winna panu podziękowanie, że polecił mnie pan swojej siostrze.

— Spodobała jej się pani?

— Z początku wydawałam jej się za młoda, ale zdążyła mnie już zaakceptować. W każdym razie na to wygląda.

— A Diego?

— W pierwszej chwili chciał mnie wyrzucić, ale dona Sofia mu to wyperswadowała.

— Jeszcze narzeczony, a już się tak rządzi!

Susan nie spodobała się ta sarkastyczna uwaga.

— Narzeczony? Czyżby się jeszcze nie pobrali?

— Pewnie, że nie.

— Naprawdę? — krzyknęła z niedowierzaniem Susan.

— A ja myślałam, że już od dawna są małżeństwem.

— Owszem, już od dawna sympatyzują ze sobą, lecz dopóki żył Jaime, nie mogło być mowy o małżeństwie. Pierwszy mąż Sofii umarł ledwie kilka miesięcy temu.

Susan milczała wstrząśnięta. Naraz stało się dla niej jasne, dlaczego dzieci tak gwałtownie zareagowały na wspomnienie o ojcu. Co za okrucieństwo ze strony matki, tuż po pogrzebie przyprowadzić do domu innego mężczyznę. To graniczyło niemal z cudem, że Roberto i Emilia tak od razu zaakceptowali przyszłego ojczyma. Ba, pokochali go nawet!

— Musi pani wiedzieć, *senorita* Adams — ciągnął Rivera — że my Meksykanie jesteśmy bardzo uczuciową mi ludźmi. Nasza rodzina nie jest wyjątkiem. — Rzucił i Susan wiele mówiące spojrzenie, ona jednak uśmiechnęła się, że tego nie zauważyła, mimo to zaczerwieniła się, skonsternowana jego natrętnym wzrokiem.

Rivera zaproponował, że odwiezie ją do domu. Nie pozostawało nic innego, jak przyjąć propozycję. Jadąc Susan zachodziła w głowę, dlaczego Alvaro Rivera akurat tego dnia znalazł się w mieście ruin. Przecież nie przyjechał tam jako turysta, nie mógł więc to być przypadek, wołała jednak o to nie pytać. Czowała się nieswojo, na szczęście jazda nie trwała długo.

Niedaleko od posiadłości de Silvów Rivera zatrzymał się. Susan otwarła drzwi samochodu, jednak nie dane jej było wysiąść, gdyż Rivera gwałtownie przyciągnął ją do siebie i zaczął całować. Zdjęta wstętem usiłowała uwolnić się z jego objęć, lecz było za późno.

— Rozkoszne z pani kociątko — rzekł wreszcie poka-

żując w obleśnym uśmiechu wszystkie zęby. — A ja lubię kobiety z temperamentem.

Susan nie oglądając się puściła się pędem w kierunku willi. W uszach ciągle jeszcze brzmiał jej głośny śmiech Rivery, twarz paliła ze wstydu i odrazy. Na moment oparła się o bramę, starając się uspokoić. Wreszcie udało jej się opanować na tyle, że ośmieliła się wejść do ogrodu.

Don Diego wydawał się na nią czekać. Ze zmarszczonym czołem i oczami miotającymi niebezpieczne błyski zbliżył się do dziewczyny.

— *Señorita*, wreszcie pani wróciła. Proszę za mną, muszę z panią pomówić. — Jego lodowaty głos nie wróżył nic dobrego.

Susan w milczeniu podążyła za nim, przygotowując się w duchu na prawdziwą burzę, choć nie czuła się niczemu winna. Na korytarzu spotkali Lucię, która obrzuciła Susan złośliwym, zdradzającym niemą satysfakcją spojrzeniem. Czegóż ona znowu ode mnie chce, obruszyła się dziewczyna w duchu.

W gabinecie don Diego wskazał Susan szorstkim gestem krzesło, sam zaś usiadł na brzegu biurka.

— Zanim pani cokolwiek powie, muszę zwrócić uwagę, że pani zachowanie jest obserwowane nie tylko tu w domu. Nie będziemy tolerować pod naszym dachem osoby źle się prowadzącej.

Aha, Lucia mnie widziała z Riverą i od razu doniosła Diego de Silvie. Susan z oburzenia zabrakło tchu.

— Pani zachowanie, *señorita* Adams, pozostawia wiele do życzenia — zmierzył ją szyderczym wzrokiem — a ja, oddając dzieci w obce ręce mam chyba prawo oczekiwać, że ich opiekunka będzie się dobrze prowadzić. Pierwsze wrażenie jednak mnie nie zmyliło — parsknął. — Powinno być od razu rozstać się z panią.

Susan zaschło w gardle. Ten mężczyzna umiał wyprowadzić ją z równowagi. On chyba oszalał.

— To pan śmie mi wytykać złe prowadzenie?! — Natarała na niego z furią. — Żyje pan bez ślubu z kobietą, której mąż zmarł przed kilkoma miesiącami, a mnie pan urządza takie sceny? I to z powodu wymuszonego pocałunku przez pańskiego obrzydliwego szwagra. To pan nie ma w sobie odrobiny przyzwoitości.

Strzał był celny. Oddech don Diega wyraźnie się przyspieszył. Żelaznym chwytem ujął nadgarstki dziewczyny. Jego ręce były lodowate. W tym samym momencie uświadomiła sobie, co takiego powiedziała. Po prostu napadła na niego zarzucając mu coś, o czym wiedziała naprawdę niewiele. Powinna się wytłumaczyć. Chociaż nie robi tego.

Don Diego dosłownie gotował się ze złości. Straciwszy panowanie nad sobą krzyknął:

— Nie tylko że nie ma pani pojęcia o poczuciu obowiązku, ale jeszcze nie umie pani rozgraniczyć między dobrem i złem. Ma pani specyficzne wyobrażenie o moralności. Jeśli uważa mnie pani za człowieka, który zawsze sięga po to, czego sobie życzy, to bardzo proszę, jestem skłonny utwierdzić panią w tym przekonaniu.

Pochylił się nad Susan i poderwał ją z krzesła, objął i z całą mocą przyciągnął do siebie. Przeciagle zajrzał dziewczynie w oczy, po czym twardo, wręcz gniewnie przycisnął swe wargi do jej ust. Susan miała wrażenie, że podłoga umyka jej spod nóg. Zakręciło jej się w głowie, gorączkowo szukała oparcia. Nie znajdując go, drżącymi palcami uchwyciła się jego marynarki. Zniewolona tajemną tęsknotą zamknęła oczy i przytuliła się do mężczyzny, dając się porwać fali namiętności. Ten człowiek przyciągał ją z magnetyczną siłą.

Ale już w parę sekund później uścisk don Diega

z powrotem stał się wręcz grubiański. Susan otrzeźwiała i zrozpaczona usiłowała się wyzwolić z jego objęć. Prawie rzucił ją na krzesło.

— Miałem rację! Jesteś małą poszukiwaczką przygód, co to każdego mężczyznę bierze do łóżka...

Susan osłupiała, po czym bez słowa się podniosła i chwiejnym krokiem ruszyła do drzwi. Świat wokół wirował, bała się, że lada moment upadnie. Pobiegła do swego pokoju i zalaną łzami twarz ukryła w poduszce. Natychmiast pojawiły się przed nią dwa oblicza. Jedno z nich, wykrzywione ze złości, z pałającymi gniewem „oczami, i drugie — zdradzające wielkie wewnętrzne cierpienie. To ostatnie należało do nieznanego z samolotu. Nic ich nie łączyło — a przecież były w jakimś sensie do siebie podobne. Nie mogła pojąć, dlaczego. Biła się z myślami nie znajdując wyjaśnienia, a wtedy smutna twarz nieznanego mężczyzny rozplynęła się, ustępując miejsca aż nadto znanej twarzy don Diega. Co to wszystko miało znaczyć? Dlaczego pocałunek don Diega wyzwolił w niej taką namiętność, o jaką nigdy by się nie posądzała? Przecież go nienawdziła, teraz jeszcze bardziej niż kiedykolwiek. Kochała mężczyznę z samolotu, to przecież z jego powodu została w Mexico City.

Naraz zaczęła wątpić, czy tamto romantyczne zdarzenie miało kiedykolwiek miejsce. Może po prostu uległa złudzeniu?

A don Diego? On był samą rzeczywistością, nie zjawą. Gdy pomyślała o scenie w gabinecie, musiała się przyznać sama przed sobą, że ją pociąga. On zdawał się odczuwać to samo. Ale przecież to nie była miłość. Jeżeli się kogoś kocha, nie robi się wszystkiego, żeby tę osobę pognębić. Ona sama przecież Diega nienawdziła. Powtórzyła to raz jeszcze, tak jakby chciała się utwierdzić w tym przekonaniu. A co w takim razie ze wzruszeniem, nie, nawet uniesieniem,

jakie ją ogarnęło w jego ramionach? A może da się kochać i nienawidzić tego samego człowieka jednocześnie?

Dopiero jasny głos Roberta wyrwał ją z zamyślenia.

— Susan, pójdziesz z nami do parku?

— Nie, kochanie, niestety, już nigdzie z wami nie pójde. Po prostu muszę was opuścić — rzekła ze smutkiem.

— A ja myślałem, że zostaniesz z nami na zawsze — wybuchnął patrząc na nią przerażonymi oczami.

— Ja też tak myślałam. Kiedyś.

— Nie puszczę cię! Zaraz idę do wujka Diego! — oświadczył kategorycznie Roberto.

— Nie, zostań tutaj!

Ale chłopca już nie było w pokoju. Susan wybiegła za nim, lecz było za późno, zdążyła tylko dojrzeć Roberta znikającego w gabinecie don Diega.

— Wujku Diego! Wujku Diego! Ona chce odejść — doszedł ją zrozpaczony okrzyk chłopca. — Musisz jej powiedzieć, żeby została!

Susan poszła z ociąganiem za nim, zdecydowana złożyć wymówienie. To wszystko było ponad jej siły. Nie miała tu już po co zostawać, i nawet tego nie chciała.

— Co się stało, Roberto? — spytał don Diegu schylając się nad płaczącym dzieckiem.

— *Senorita* Adams nie może nas opuścić! — łkał Roberto.

Don Diego rzucił Susan przelotne spojrzenie. Na moment zamknął oczy, jakby bardzo zmęczony, po czym zwrócił się do chłopca:

— Musimy zapytać *senorite* Adams, czy wytrzyma jeszcze trochę z nami. — Zwrócił się do Susan: — Sama pani widzi, że dzieci nie chcą się z panią rozstać. Bardzo bym się cieszył, gdyby pani jeszcze zmieniła zdanie — powiedział przyjaźnie.

Jego oczy błyszcząły, twarz opromieniał zniewalający, uśmiech.

Co za odmiana! nie mogła się nadziwić Susan. Dopiero co ciskał na mnie gromy, a teraz się przymiła. Cała aż trzęsła się z wewnętrznej pasji.

Podeszła do Roberta i uknęła przy nim.

— Roberto, naprawdę chcesz, żebym została?

— Pewnie! Ja panią kocham. — Chłopiec zarzucił Susan ręce na szyję i przylgnął do niej całym ciałem.

— Dobrze już, dobrze, Roberto — pogłaskała go uspokajająco. — Zostanę przy was, jak długo się da.

Wzięła uspokojone już dziecko za rękę i opuściła z nim gabinet, rzucając przy tym niechętnie spojrzenie na don Diega.

RRS

6

W następnych dniach Susan i don Diego schodzili sobie z drogi, choć nie było to łatwe. Obydwoje byli bardzo zręczni w wyszukiwaniu usprawiedliwień i tłumaczeń, lecz wiedzieli aż za dobrze, że na dłuższą metę jest to niemożliwe.

Emilia pierwsza to spostrzegła.

— Susan, nie lubisz wujka Diego, prawda? — spytała obcesowo pewnego dnia.

— Skądże ci to przyszło do głowy? — Susan zwleką z odpowiedzią, zastanawiając się, co powinna rzec tym dzieciom. — Oczywiście że go lubię. To wspaniały człowiek. Lecz on ma tyle pracy. A ja też, sami wiecie... Wydaje mi się, że często woli być z wami sam. A ja wtedy nie jestem wam potrzebna.

Dzieci nie wyglądały na przekonane.

— Ale w następnym tygodniu koniecznie musisz wybrać się z nami. Mam za parę dni urodziny i wujek Diego obiecał spełnić każde moje życzenie. I ja już zdecydowałam, co będziemy robić. Zrobimy wycieczkę łodzią po jeziorze Xocimilco. Tylko ty, Roberto, mama, wujek Diego... i oczywiście ja. Będzie wspaniale!

Susan bardzo spodobał się pomysł Emilii. Wiele słyszała o Xocimilco, a jeszcze do tej pory tam nie była.

Nagle ovladnęła nią myśl, że jeżeli don Diego popłynie z nimi, ona powinna zostać w domu. I tak zrobi! Dla Emilii będzie to z pewnością przykre, lecz nie może inaczej. Zaraz jednak zreflektowała się. Po co ta bezsensowna zabawa w chowanego! Przecież chyba możemy całkiem normalnie przebywać obok siebie. Zresztą na wycieczce będzie też dona Sofia, już ona postara się, aby Diego nie miał za wiele czasu dla niej, Susan.

Doni Sofii jednak ani było w głowie brać udział w wycieczce.

— Ależ Diego! — wzruszyła ramionami. — Ty chyba stroisz sobie ze mnie żarty. Ja i przejażdżka łodzią! Zanudziłabym się na śmierć. I to tylko dla twojej przyjemności? — O Emilii oczywiście nie pomyślała. — Nie rób mi tego!

No cóż, sprawa została postawiona jasno, Emilia jednak nie wydawała się tym faktem zmartwiona, wyglądało nawet na to, że zaprosiła matkę z czystego obowiązku i teraz w skrytości ducha odetchnęła z ulgą.

Susan zaś przemyśliwała nad tym, czy to dobrze, jeżeli ona i Diego, choć zawarli milczące porozumienie, pojedą razem na wycieczkę.

Nadszedł wreszcie wyczekiwany z niecierpliwością dzień.

— Jesteście gotowi? Będę czekał w samochodzie — zawołał don Diego.

Nie upłynęła minuta, a Roberto i Emilia zbiegli radośnie po schodach. Susan z mieszanymi uczuciami też w chwilę potem wsiadła do samochodu. Chciała usiąść obok dzieci w tyle, ale don Diego niespodziewanie zaproponował:

— Proszę usiąść z przodu, *señorita*. Będzie pani miała lepszy widok.

Z wahaniem zadośćuczyniła jego życzeniu, lecz już

w chwilę potem zapomniała o swych obiekcjach, tak była urzeczona pięknem okolicy, przez którą przejeżdżali.

Gdy przybyli nad jezioro, pierwsza wyskoczyła z auta. Widok nie miał sobie równego.

— Jakie piękne wysepki — aż jęknęła z podziwu. —
Całe w kwiatach!

Dzieci natychmiast znalazły się obok niej, a zaraz potem dołączył do nich Diego.

— Chcecie wiedzieć, jak powstały te wysepki? — Spytał z uśmiechem. Wyglądał tego dnia na wyjątkowo dobrze usposobionego.

Pytając zwrócili się w jego stronę.

— Dawno temu mieszkańcy Xochimilco budowali olbrzymie tratwy z sitowia i mocowali je na dnie jeziora — zaczął opowieść. — Pokrywali potem takie tratwy warstwą ziemi i sadzili na niej różne rośliny, zmieniając je w pływające ogrody. Jarzyny udawały się znakomicie, a kwiaty były tak okazałe, że piękniejszych ze świecą szukać. Korzenie roślin szukały drogi poprzez szczeliny w tratwach, a z czasem wokół nich nagromadziła się ziemia, rośliny więc miały teraz pod sobą twardy grunt. Po latach wyspy już się nie poruszały z prądem, zakorzenione w dnie jeziora, a ludzie z Xochimilco uprawiali coraz więcej warzyw i kwiatów, aby potem sprzedać je na targu na jeziorze, prosto z łodzi.

W przystani kołysało się na wodzie wiele przyozdobionych kwiatami tratw. Były one zbudowane z powiązanych ze sobą okrągłych pni, ze specjalną konstrukcją wzmacniającą. Taka tratwa nie miała oczywiście boków, tylko zwieńczony kwiatami dach na palach jako osłonę od słońca, pod którym stało kilka przytwierdzonych do pni ławek i stół. Ich wadę stanowiło to, że były bardzo wywrotne i każdej chwili, przy nieodpowiednim rozłożeniu obciążenia, można było wylądować w wodzie.

Emilia, która z racji swego święta miała wybrać tratwę, po długim namyśle zdecydowała się na „Lindę”, gdyż przyozdobiono ją jej ulubionymi kwiatami.

Uśmiechnięty od ucha do ucha przewoźnik trzymał w ręku długi drąg, który służył do wiosłowania, a gdy skoczył na pokład „Lindy”, tratwa niebezpiecznie zanurzyła się w wodzie.

Susan z ciekawością rozglądała się wokoło. Co za barwny tłum ludzi! Na wodzie odbywał się regularny targ. Kobiety w długich wąskich canoe, wypełnionych po brzegi najpiękniejszymi kwiatami, krzykliwie zachwalały swój towar. Pływające garkuchnie przemykały obok, rozsiewając smakowite zapachy.

— To najpiękniejsze urodziny, jakie przyszło mi oglądać — powiedziała Susan do Emilii.

Dziewczynka promieniała radością.

— Wujku Diego! Musisz kupić kwiaty Susan i mnie. Tak bardzo cię proszę! To przecież moje urodziny! — krzyknęła swawolnie.

Diego roześmiał się.

— Ależ naturalnie — rzekł ubawiony. — Poszukam łodzi z najpiękniejszymi kwiatami. Moje panie przecież zasługują na wszystko, co najlepsze, nieprawdaż?

Susan nagle zrobiło się gorąco. Zakłopotana spuściła oczy. Diego tymczasem skinął na właściciela pływającej garkuchni i kupił kilka lokalnych przysmaków. Okazały się wspaniałe.

Po posiłku Roberto i Emilia uklękli z tyłu tratwy i bawili się zanurzając raz po raz ręce w wodzie, Susan i Diego zaś zostali na ławce pod daszkiem. Susan w milczeniu przyglądała się zabawie dzieci, z rozkoszą chłonąc barwny świat dokoła, Diego natomiast wydawał się bardziej zainteresowany błyszczącymi oczami Susan, obserwując ją z nieprzeniknionym uśmiechem.

Nagle poderwał się gestykując.

— Tutaj senora Obregon!

Wyrwana z zamyślenia, Susan podążyła za jego wzrokiem i odkryła w pobliżu wspaniałe canoe wypełnione kwiatami we wszelkich możliwych barwach. Jeden z nich szczególnie ją zachwyił.

— Sefiorita, widzę, że podoba się pani ta orchidea, proszę więc przyjąć ją ode mnie — rzekł ze znaczącym uśmiechem. — W Susan nieoczekiwanie zatrzepotało serce. Gdy chciał, don Diego potrafił być naprawdę miły!

Kupując potem kwiat dla Emilii, Diego jeszcze przez moment gawędził z kwiaciarką. Susan ze zdumieniem stwierdziła, że Diego potrafi podać nazwę botaniczną każdej ze znajdujących się w łodzi orchidei, spytała więc ciekawie:

— Skąd pan tak dobrze zna się na orchideach?

— Po prostu muszę. Ostatecznie zarabiam w ten sposób pieniądze. Sam hoduję orchidee na farmie w Oaxaca, nie wiedziała pani?

Nie wiedziała o tym. Ile jeszcze było rzeczy, o których nie wiedziała?

— To interesujące. Teraz przypominam sobie, że widziałam orchidee w pańskim ogrodzie, koło fontanny.

— To dofia Sofia przywiozła kilka sadzonek z którejś z moich szklarni i kazała je posadzić.

— Czy to oznacza, że pan ma więcej niż jedną szklarnię?

Diego roześmiał się.

— Pewnie. Na farmie w Oaxaca przeprowadzam eksperymenty z nowymi odmianami. Chętnie je pani pokażę. W następnym tygodniu wyjeżdżamy tam na dwa miesiące. Chcąc się utrzymać na rynku, muszę wprowadzać ciągle coś nowego, jakąś nową odmianę o ciekawym kolorze i kształcie, więc nie pozostaje mi nic innego, jak pilnować

interesu. Swoje eksperymenty muszą trzymać w tajemnicy, aby konkurencja nie podebrała mi pomysłów.

Susan słuchała go już tylko jednym uchem. Zaskoczyła ją planowana podróż do Oaxaca. Ze słów don Diega wynikało, że ona wraz z dziećmi też tam pojedzie. To prawda, bardzo chciała zwiedzić Oaxaca, lecz ta niespodziewana wiadomość pokrzyżowała jej plany. Tak naprawdę nie chciała na długo opuszczać Mexico City, oczywiście z powodu nieznanego z samolotu. To oznaczało przerwę w poszukiwaniach. Jednocześnie zastanawiała się, czy on jest jeszcze w Mexico City. A może w ogóle nie mieszkał tu, w stolicy, tylko w posiadłości wiejskiej? Choćby gdzieś pod Oaxaca?

Raptem tratwa niebezpiecznie się zakołysała, rozległ się przeraźliwy krzyk i w górę strzeliła fontanna wody. Susan zatrzęsała się z przerażenia. Emilia! Ciężka szyna wciągnie dziecko w głębinę! Tak jak stała, skoczyła jej na ratunek. Nurkowała, usiłując szeroko otwartymi oczami wypatrzeć coś w mętnej wodzie. Wypłynęła na powierzchnię, aby zaczerpnąć powietrza, i zanurzyła się znowu. Dalej nic! Wpadła w panikę.

Tymczasem i don Diego zdążył wskoczyć do wody. Całe jezioro jakby zamarło, ucichły śmiechy i żarty. Ludzie z kołujących się obok na wodzie łodzi w napięciu śledzili rozpaczliwe próby uratowania dziecka. Roberto stał łkając na tratwie i wymachiwał zrozpaczony ramionami. On też chciał skoczyć do wody, na szczęście przewoźnik zdołał go powstrzymać.

Susan walczyła z prawdziwą determinacją. Jej ręce wściekle biły wodę rozgarniając algi, które ograniczały widoczność prawie do zera. Wreszcie udało się jej coś namacać. To była noga Emilii! Przyciągnęła drobne ciało do siebie i ostatkiem sił wypłynęła na powierzchnię.

— Mam ją! Pomocy! — krzyknęła nie mogąc złapać tchu.

W mgnieniu oka podpłynął Diego, wziął nieprzytomną Emilię z objęć Susan i popłynął z nią w kierunku tratwy, gdzie przewoźnik z miejsca zabrał się do sztucznego oddychania. Susan walcząc z ogarniającą ją słabością dopłynęła do tratwy i tam zemdląła. Przychodząc do siebie jak przez mgłę usłyszała głos Diega.

— Susan! Susan! Proszę coś powiedzieć!

Ocknęła się leżąc w ramionach Diega. Patrzył na nią z wyraźnym niepokojem.

— *Gracias a Dios!* — mruknął. W jego głosie dzwięczała prawdziwa ulga.

Szybko dobili z powrotem do brzegu. Wycieczka o mały włos nie skończyła się tragicznie.

W drodze powrotnej nie padło ani jedno słowo. Susan i Emilia marzły w mokrych sukienkach, Roberto milczał wciśnięty w kąć samochodu, a don Diego utkwiał martwe spojrzenie w jezdni.

Gdy znaleźli się na miejscu, Susan czuła się już zdecydowanie lepiej, choć nadal nogi ugiwały się pod nią. Wyciągnęła rękę, aby pomóc chłopcu w wysiadaniu, Roberto jednak ani drgnął. Po jego policzkach spływały wielkie łzy.

— To ja jestem winien! — łkał. — Nie pilnowałem jej dobrze.

— Jak możesz tak myśleć! — Susan była skonsternowana. — Nikt nie jest winien, a ty nie masz sobie nic do wyrzucenia. Przeraziliśmy się wszyscy, to prawda, lecz na szczęście ta cała przygoda dobrze się skończyła.

Roberto spojrział na nią niepewnie, jeszcze parę razy wstrząsnęło nim łkanie, wreszcie otarł łzy.

— Może byś teraz pobiegł do kuchni i przyniósł Emilii kawałek ciasta? Sobie oczywiście też!

Tego nie trzeba było chłopcu dwa razy powtarzać. Jak strzała pobiegł w kierunku domu.

Za to Susan z trudem dowlokła się do schodów. Na szczęście wyszedł jej naprzeciw Diego, który zdążył już zanieść do domu Emilię, dosłownie w samą porę, aby podtrzymać slaniającą się dziewczynę. Bez słowa wziął ją na ręce i zaniósł do pokoju.

— Gdyby nie pani, dziecko jak nic by utonęło. Jak w ogóle udało się ją pani znaleźć?

— Nie umiem tego wytłumaczyć. Myślę, że był to czysty przypadek.

Diego na moment zatrzymał się niezdecydowanie w drzwiach.

— Ja... my... mogliśmy przecież panią utracić... — powiódł niepewnym gestem po włosach.

Kolację zjadła Susan w swoim pokoju, zaraz potem, do cna wyczerpana, zapadła w głęboki sen. Obudziło ją pukanie do drzwi. Była to dona Sofia.

— *Senorita* Adams, przyszedłam pani podziękować — rzekła starając się nadać swemu głosowi przyjazny ton. — Wykazała pani nie lada odwagę. Don Diego do tej pory nie może wyjść z podziwu.

Mówi to z przekąsem, przemknęło przez głowę Susan. Czy aby ~ona nie jest o mnie zazdrosna?

Patrzyła na stojącą obok swego łóżka piękną i elegancką kobietę, która tak naprawdę była zimna i nieprzystępna. Czyż to samolubne, przywiązujące wagę do pozorów stworzenie wiedziało coś o prawdziwych uczuciach? Czy w ogóle potrafiło je okazać? Nagle żal jej się zrobiło don Diega. Ten, w przeciwieństwie do niej, nie był nieczuły. Susan zapragnęła, aby doña Sofia jak najszybciej wyszła.

Na szczęście dona Sofia szybko się pożegnała, zasłaniając się tym, że Susan potrzebuje odpoczynku. Nie, między nimi dwiema nie mogło być przyjaźni. Dzielili je całe światy.

7

— *Señorita* Adams, paczka dla pani — głos Constanzy rozbrzmiał echem w całym domu.

— Paczka od Shirley! Susan właśnie bawiła się z dziećmi, gdy dobiegło ją wołanie Constanzy, zostawiła je więc w ogrodzie, a sama pośpieszyła otworzyć przesyłkę, spodziewając się listu od przyjaciółki.

Był! Leżał na samym wierzchu. Serce Susan zabiło na moment z tęsknoty. Czy jeszcze kiedyś zobaczy Shirley? Szybko rozerwała kopertę i przebiegła wzrokiem wiadomości z biura, o szefie, koleżankach i znajomych. Następna partia listu szczególnie przykuła jej uwagę.

Pattie opowiedziała mi o Meksykaninie w samolocie. Mam nadzieję, że się nie obrazisz, gdy przedstawię Ci moje własne zdanie na ten temat. Marzenia to rzecz piękna, lecz kiedyś trzeba zerwać z rojeniami podlotka. Susan, wy czarowałaś w swojej wyobraźni postać człowieka idealnego i uczepiłaś się tej myśli, zamiast zadowolić się rzeczywistością. Jakże Ty sobie wyobrażasz urzeczywistnienie swoich marzeń? Takiego idealnego mężczyzny nie ma i nie będzie, więc wyrzuć te bezsensowne mrzonki i zadowol się całkiem normalnym człowiekiem! Machnęłaś na nas wszystkich ręką i w Mexico City szukasz człowieka, którego w ogóle nie znasz! Nawet nie wiesz, czyby Cię jeszcze rozpoznał! Gdyby

tak naprawdę był Tobą zainteresowany, zapytałby przynajmniej o Twe imię i adres, nie uważasz? A pocałunek? Potraktował Cię jak zabawkę, to wszystko. Twój nieznajomy to prawdopodobnie najprzeciętniejszy człowiek pod słońcem, któremu spodobała się ładna buzia. Nie chcę przez to powiedzieć, że wszyscy mężczyźni są tacy...

Susan z niemiłym uczuciem odłożyła list, a leżącą na podłodze paczkę potraktowała niechętnym kopnięciem i roztrzęsiona rzuciła się na łóżko.

Tak, Shirley potrafiła być twarda i wygarnąć wszystko prosto z mostu. Mimo to w sercu Susan, która przecież dobrze znała swoją przyjaciółkę, rósł bunt. Dlaczego Shirley nie chciała jej zrozumieć? Czyżby ona, Susan, rzeczywiście postępowała jak postrzelona nastolatka? Zresztą Shirley w pewnym stopniu miała rację, Susan musiała to lojalnie przyznać. To prawda, idealizuje człowieka nic o nic nie wiedząc. Czy tak robi rozsądna osoba?

Susan założyła ręce z tyłu głowy i niewidzącym wzrokiem wpatrzyła się w kąt pokoju. Jej „Zorro”, jak nazwała nieznajomego z samolotu Shirley, był wysoki, szczupły i bardzo uczuciowy. Ale jeszcze kto inny odpowiadał temu opisowi! Diego! Uświadomiwszy to sobie, aż się poderwała z wrażenia.

Z zamętem w głowie zaczęła rozpakowywać paczkę.

— Idziemy do parku! Idziemy do parku! — śpiewała wesoło Emilia kuśtykając po domu.

Susan uśmiechnęła się widząc radość małej. Także i Roberto nie posiadał się ze szczęścia na wieść o tym, że wolno im wybrać się do pobliskiego parku. Były tam huśtawki, karuzela, zjeżdżalnia i drabinki — a przede wszystkim dużo dzieci.

Do tej pory matka nie pozwalała im się bawić w parku, uważając, że dzieci mogą wynieść stamtąd złe nawyki,

Susan jednak obstawała przy tym, że Roberto i Emilia nie powinni wychowywać się z dala od rówieśników. Nie pytając dony Sofii o pozwolenie, zabrała ich tam pierwszym razem na własną rękę.

Obydwoje nie spodziewali się tego, dopóki nie znaleźli się na dróżce wiodącej do placu zabaw. Gdy Roberto i Emilia zobaczyli całą gromadę dzieci, z początku czuli się onieśmieleni. Nie upłynął jednak nawet kwadrans, kiedy włączyli się do zabawy rozkrzyczanej gromady.

Susan usiadła w pobliżu na ławce, aby uważać na swych podopiecznych. Ze zdumieniem, ale i z prawdziwą radością stwierdziła, że mała Emilia zdołała nawet przejąć rolę przywódczyni, wymyślając coraz to nowe figle. Roberto nie brał udziału w zabawie młodszych dzieci; znalazł towarzystwo kilku chłopców w swoim wieku, które mu wyraźnie odpowiadało.

Po godzinie Emilia była już na tyle zmęczona, że z łatwością pozwoliła się oderwać od zabawy. Mała była nad wyraz ożywiona i usta jej się dosłownie nie zamykały. Susan nie przysłuchiwała się specjalnie dziewczynce, naraz jednak nadstawiła uszu.

— Jeśli mama jeszcze raz wyjdzie za mąż, musi to być wujek Diego. Jest taki miły jak nasz tata.

— Co ty opowiadasz — wtrąciła pośpiesznie Susan — przecież jest już jego żoną.

— Ależ skąd. Wiem to na pewno — obstawała przy swoim Emilia. — Słyszałam, jak rozmawiali. Wujek Diego był wściekły na mamę i powiedział, że nigdy się z nią nie ożeni.

Choć Susan nic to właściwie nie obchodziło, zdjął ją nagle niepokój. A jak mała wygada się przed kimś obcym i jej matka będzie miała kłopoty? Dobrze wiedziała, że w Meksyku nie toleruje się par żyjących bez ślubu. Może trzeba powiedzieć Diego i doni Sofii, co Emilia pod-

słuchała i co w każdej chwili mogło dojść do niepowołanych uszu?

Ostatecznie jednak postanowiła milczeć. Prawdopodobnie zostałaby wyśmiana, że słucha dziecięcej paplaniny. A jeżeli jednak to prawda? Mała prawdopodobnie nie wysłała sobie tego z palca. Wtedy Diego byłby wolny i może...

Susan nie ważyła się dokończyć tej myśli. Ogarnęło ją dziwne podniecenie. To niemożliwe! Czyżbym się w nim zakochała? Już od dłuższego czasu myśli Susan były nieustannie przy Diegu, jakby usuwając w cień wspomnienie o brodatym mężczyźnie z samolotu. Zaskoczona własnymi uczuciami lękała się przyznać przed samą sobą, że Diego stał się najważniejszą częścią jej życia i że ona już nic na to nie może poradzić.

RRS

8

— Kiedy wreszcie wyjedziemy? — niecierpliwiła się Emilia. Ona i Roberto siedzieli na walizkach machając nogami.

Dona Sofia nie słuchała. Stała w oknie, wyraźnie na kogoś czekając. Susan właśnie schodziła po schodach, gdy powiedziała z ulgą:

— O, jest Alvaro. Chodźcie, dzieci, wsiadamy! — Zwróciwszy się do Susan zarządziła: — *Senorita Adams* pani i dzieci pojedziecie samochodem *senora Rivery*. *Si* z mężem pojedę naszym samochodem.

Jeszcze tylko tego brakowało, myślała gniewnie Susan upychając w bagażniku walizki. Zawsze stawiał się ją przed dokonanymi faktami! Dopiero teraz dowie działa się, że Rivera jedzie z nimi do Oaxaca. I om w dodatku ma jechać jego samochodem! Kiedy zobaczyła rozciągniętą w uśmiechu twarz Alvara, jej nastrój jeszcze się pogorszył. Biada mu, jeśli się waży zaczepiać ją podczas jazdy! W takim wypadku była zdecydowana natychmiast wysiąść i wrócić choćby na piechotę do Mexico City.

Skinęła Riverze wyniośle głową i z pewną niecierpliwością poleciła dzieciom zająć miejsca z tyłu. Roberto i Emilia, zaskoczeni tonem jej głosu, bez szemrania wypełnili

polecenie. Niestety, ona sama musiała zająć miejsce z przodu. Zrobiła to nie patrząc na Riverę i bez słowa utkwiała wzrok w oknie.

Jazda autostradą Pan American Highway ciągnęła się w nieskończoność. Tym razem nie sprawiał przyjemności Susan przesuwanie się za szybami krajobraz. Wewnętrznie spięta, z zaciśniętymi wargami patrzyła martwo przed siebie.

— Opowiedzieć pani coś niecoś o Oaxaca? — spytał Rivera rzucając jej baczne spojrzenie.

— Jeśli pan tak koniecznie chce... — odparła zimno.

Alvaro Rivera zdawał się tego nie zauważać.

— Musi pani wiedzieć, że miasta Oaxaca nie da się porównać z Mexico City — zaczął. Susan przyglądała się z przerażeniem, jak raz po raz puszcza kierownicę popierając swe słowa gestami.

— To teren górzysty, nawiedzany częstymi deszczami, dlatego też są tam całe połacie gęstych lasów. W nich właśnie rosną orchidee.

— Orchidee? — zdziwiła się Susan. Rozmowa zaczyna się być interesująca. — Czyżby rosły dziko?

— Oczywiście, że tak. I to w dodatku na drzewach!

— Niech mi pan tu nie opowiada takich rzeczy. Orchidee to nie drzewa.

— Drzew orchideowych nie ma, to prawda— ciągnął nie zrażony Rivera. — Pani zna tylko orchidee wyhodowane w szklarni. Dzikie orchidee rosną natomiast w rozwidleniach gałęzi, jako epifity. Nie potrzebują ziemi. Pokarm czerpią z powietrza, deszczu i obumarłych liści.

Susan zastanowiła się przez moment, po czym spytała:

— Pracuje pan z don Diegiem, że tak się pan zna na orchideach?

— Dobry Boże, nie! To nie jest zajęcie dla praw-

dziwego mężczyzny. Mam własną firmę. Importuję urządzenia chłodnicze dla dużych odbiorców.

Susan nie stawiała więcej pytań, uznawszy odpowiedź Rivery za arogancką. Temat był dla niej wyczerpany.

Naraz uczuła czyjąś rękę na swych włosach. Wzdrygnęła się. To mógł być tylko Rivera, dzieci przecież spały. Odwróciła głowę i zmierzyła go piorunującym wzrokiem, lecz to Riverę tylko jeszcze zachęciło.

Susan niemalże wbiła się w kąt samochodu, tak że Rivera nie mógł teraz dosięgnąć jej włosów, za to bezwstydnie upodobał sobie kolano dziewczyny, wykorzystując nadarzającą się okazję.

— Niechże pan wreszcie przestanie mnie tak nagabywać — Susan ze złością zrzuciła jego rękę. — Nie dotarło do pana jeszcze, że nie jest pan w moim typie?

Rivera nie spodziewał się tego. Zaczerwieniony wściekle syknął:

— Jeszcze pani tego pożałuje, *senorita!*

Susan nic na to nie powiedziała. Utkwiła wzrok w oknie udając, że z zajęciem ogląda krajobraz. Aż do Oaxaca było cicho w samochodzie. Rivera, zacisnąwszy ze złością usta, skoncentrował się na jeździe.

Na lotnisku w Oaxaca spotkali się z don Diegiem i doną Sofią. Stąd mieli udać się na farmę helikopterem. Pilot już czekał, lecz z miejsca oświadczył, że może zabrać tylko trójkę dorosłych pasażerów. Reszta musi dalej podróżować samochodem.

Susan już się widziała jadącą dalej z Riverą, gdy doña Sofia nieoczekiwanie powiedziała:

— Mam nadzieję, Diego, że nie zrobi ci różnicy, gdy pojedę z Alvarem. Muszę jeszcze zrobić parę zakupów, a przy okazji coś omówić z bratem.

Diego oczywiście nie miał nic przeciwko temu, nie

mówiąc o Susan, która w skrytosci ducha odetchnęła z ulgą na myśl, że ten obrzydliwy typ nie będzie jej się choć przez chwilę narzucał.

Doña Sofia dała Diego żartobliwego klapsa na pożegnanie, po czym wsiadła do samochodu. Susan, Diego i dzieci zajęli miejsca w helikopterze. W parę minut później znajdowali się już w powietrzu.

Susan pierwszy raz w życiu leciała helikopterem, więc było to dla niej wspaniałe przeżycie. Zafascynowana oglądała z góry wzgórza porośnięte gęstym subtropikalnym lasem i przecinające je wąskie malownicze "doliny. Lot niestety skończył się o wiele za szybko. Wylądowali na pasie startowym w pobliżu farmy, gdzie czekał już na nich samochód.

Niedługo potem zatrzymali się przed wielkim nowoczesnym domem przytulonym do łagodnego zbocza. Fronton domu, zwrócony w stronę doliny, był cały ze szkła, a pozostałe ściany kunsztownie obudowane drewnem.

— Jak tu cudownie... — szepnęła Susan sama do siebie.

Don Diego zdążył ją jednak usłyszeć.

— Podoba się pani? Drewno pochodzi z okolicznych lasów. Zwróciła pani uwagę na wejście? Są to drzwi starego kościoła, który miał zostać zburzony.

Susan przyjrzała im się z uwagą. Były masywne i bogato rzeźbione. Jasny przedpokój prowadził do zalanego słonecznym światłem salonu. Był zastawiony stylowymi jasnymi meblami, które wspaniale kontrastowały z wyłożonymi ciemnym drewnem ścianami. Na gzymsie nad kominkiem odkryła zbiór przepięknych waz ceramicznych.

— Każda okolica w Meksyku słynie z innych wyrobów ceramicznych — wyjaśnił Diego widząc zainteresowanie Susan. — Te z Oaxaca są najpiękniejsze. — W jego głosie wyczuwało się prawdziwą dumę.

Emilia pociągnęła niecierpliwie Susan za rękę.

— Chodź, pokażę ci twój pokój.

Susan rzuciła Diego przepraszające spojrzenie.

— Ależ oczywiście, proszę iść — rzekł z uśmiechem. — Nawiasem mówiąc... chciałem pani tylko po wiedzieć, że z nogą Emilii jest o wiele lepiej, od kiedy pani tu jest. Potrzebne jej było więcej ruchu, a dzięki pani ma go teraz w nadmiarze.

Słyszając nieoczekiwaną pochwałę Susan zarumieniła się po uszy.

— Nie wiem, czy to ma jakiś związek ze mną. Ale to pewne, że Emilia chodzi teraz jakby pewniej niż z początku i nie musi się już bać, że rozerwie sukienkę na ostrym kancie szyny. Oczywiście byłoby lepiej, gdyby w ogóle jej nie potrzebowała. Czy istnieje szansa, że kiedyś będzie mogła ją zdjąć?

— Lekarze powiedzieli, że powinno się z małą przeprowadzać intensywne ćwiczenia korekcyjne, lecz do tej pory nikt tak naprawdę się tym nie zajmował.

— Emilia jest bardzo dzielna. Obserwując ją przy zabawie niepodobna uwierzyć, że ma kłopoty z chodzeniem.

Susan położyła czule rękę na ramieniu dziewczynkami. Widziała już, co w najbliższym czasie będzie robić.

Susan była zachwycona pokojem, w którym miała zamieszkać. Był jeszcze przytulniejszy i ładniej urządony niż ten w Mexico City, lecz przede wszystkim z okna rozciągał się przepiękny widok na całą dolinę i otaczające ją wzgórza.

Rozpakowawszy rzeczy i upewniwszy się, że dzieci bawią się w ogrodzie, zeszła do salonu i usiadła z czasopismem w rękę na zarzuconej poduszkami kanapie. Nie zdążyła jednak przeczytać nawet linijki, gdy stanął przed nią Diego.

— Przyrzekłem kiedyś pani pokazać swoje szklarnie. Może więc pójdziemy tam teraz?

Susan zaskoczona podniosła na niego oczy i dech jej zaparło z wrażenia. Diego prezentował się tak okazale w swoim białym letnim ubraniu, że serce dziewczyny zaczęło bić szybciej. Szczupły, wytworny, miał w sobie coś z giętkości zawodowego tancerza.

— Bardzo chętnie! Ale może dzieci także będą chciały iść z nami...

— Z całą pewnością nie. Obydwoje byli już tyle razy na farmie, że na pewno by się tym nudzili. Pani... przecież... nie boi się mnie chyba? — zajął jej pytająco w oczy.

Susan splonęła rumieńcem.

— Po doświadczeniach w pańskim gabinecie... — zaczęła sucho, nie dokończyła jednak zdania, co prędzej spuszczała głowę.

Diego jakby nie zwróciwszy na to uwagi popatrzył na zegarek.

— Mamy jeszcze trochę czasu, zanim dona Sofia i Alvaro tu dotrą, chodźmy więc od razu.

Bez słowa wstała i poszła przodem, czując jego wzrok na swych plecach, co ją dziwnie peszyło. Na szczęście szklarnie były niedaleko. Już w pierwszej chwili uderzyło ją w twarz ciepłe wilgotne powietrze przesycone słodkim zapachem.

— Nigdy nie sądziłam, że orchidee tak upajająco pachną — zauważyła zdziwiona.

— Nie wszystkie odmiany. Te tutaj rzeczywiście odznaczają się intensywnym zapachem.

Oprowadzając Susan po szklarniach, Diego objaśniał sposób hodowania poszczególnych odmian, a ona raz po raz wdychała z zachwytem. Bogactwo kształtów i kolorów tych oryginalnych kwiatów było rzeczywiście niepowtarza-

Ine. Susan nie mogła się napatrzeć do syta. Nie zabrakło tu orchidei bladuróżowej, która wyglądała jak elegancka dama w sutej krynolinie, kwiatostan innej składał się z drobnych żółtych kwiatuszków. Diego pokazał jej orchideę, której płatki miały odcień ciepłego brązu i wyglądały tak, jakby wycięto je z grubego aksamitu.

— To z uprawy, nad którą jeszcze pracuję — rzekł z dumą.

— Jaka piękna... Długo coś takiego trwa?

— Jeśli się chce uprawiać orchidee, trzeba mieć dużo czasu i cierpliwości. Są odmiany, które kwitną dopiero po wielu latach specjalnych zabiegów. Ta oto — wskazała ręką na szereg doniczek z drobnymi na razie sadzonkami — zakwitnie dopiero po piętnastu latach.

— Jak będzie wyglądać kwiat? — spytała Susan ciekawie, Diego odpowiedział jednak tylko:

— O tym się nie mówi. To tajemnica zawodowa.

Dziewczyna widząc jego poważną twarz nie śmiała nalegać. Tymczasem znaleźli się przed laboratorium, gdzie jej zademonstrował przy pomocy delikatnego pędzelka, ostrego noża i małego foliowego woreczka, jak się sztucznie odżywia sadzonki, pokazał jej też niezliczoną ilość szufladek, w których przechowywał nasiona.

— Sam pan dąży do otrzymania nasion każdej odmiany czy je pan skądś sprowadza? — nie mogła zapanować nad swą ciekawością, ujrawszy jednak jego reakcję była na siebie zła za to pytanie. Diego bowiem bąknął coś niezrozumiałego, a na jego czole pojawiła się sygnalizująca niezadowolenie zmarszczka.

Susan była tak zmieszana, że gdy przy końcu oprowadzania Diego zaproponował jej, aby wybrała sobie orchideę do swego pokoju, nie odważyła się poprosić o fascynującą orchideę w kolorze ciemnozłotym z brązowymi prążkami, która jej się szczególnie podobała, a zamiast tego zadowolona

się dość często spotykaną odmianą o żółtych, usianych drobnymi rdzawymi kropkami plątkach.

— Jest podobna do pani — zażartował Diego. — Pani skóra musi być tak samo delikatna... i te piegi na plątkach... zupełnie jak u pani.

Dotknął policzka dziewczyny, jego palce zaczęły powoli obrysowywać kontur jej twarzy. Susan nie drgnęła, wpatrując się w Diega jak urzeczona. Gdy jej wargi zbliżyły się do jej ust, zamknęła oczy...

— Tutaj jesteście!

Susan drgnęła na dźwięk czyjegoś ostrego głosu, uświadamiając sobie natychmiast, że należy do doni Sofii. Stała w drzwiach laboratorium w towarzystwie Alvara i z ciekawością zaglądała do środka.

Diego też się gwałtownie odwrócił, z szarmanckim uśmiechem powitał Sofię podchodząc do niej, ona jednak zdawała się go nie zauważać, wściekłym spojrzeniem natomiast zlustrowała od stóp do głów Susan.

— Czy mogę z tobą porozmawiać na osobności? — spytała syczącym szeptem.

- Ależ oczywiście — Diego skwapliwie wziął ją pod rękę i wyprowadził na zewnątrz.

Susan pozostała sama z prawdziwym zamętem w głowie.

— Nie udało się pani, co? — jej myśli przerwał ironiczny śmiech Rivery. — Diego to twardy orzech do zgryzienia. Nie jest z nim łatwo, więc może jednak spróbuje pani ze mną.

Susan rzuciła mu miazdzące spojrzenie, po czym wyszła z dumnie podniesioną głową, a gdy Rivera nie mógł już jej dojrzeć, puściła się biegiem, chcąc za wszelką cenę znaleźć się jak najszybciej w swoim pokoju. Nagle zatrzymała się, widząc przed wejściem do domu Diega i donę Sofię. Zawahała się nie wiedząc, co robić, gdy doszedł ją zjadliwy głos Sofii.

— No powiedz, Diego, czyż to wypada, żeby *sehorita* Adams umizgała się do mojego brata? Ona mu się po prostu narzuca, nie zauważyłeś?

Susan nie wierzyła własnym uszom. To jasne, Rivera próbował się na niej zemścić opowiadając niestworzone historie, a doña Sofia? Ta przecież jej nienawidziła, Susan odczuwała na każdym kroku. Co prędzej skryła się za węglem domu.

— Mój brat nie upadł jeszcze na głowę i potrafi sobie dać radę z tą bezwstydną dziewczyną. Powinniśmy pokazać, gdzie jej miejsce. Nie będę dłużej tego tolerować pod swoim dachem. Musisz z nią porozmawiać, Diego! Nic cię nie obchodzi, że twoja pracownica...

Diego przerwał jej szorstko:

— Niepotrzebnie robisz z tego taką historię, Sofio. Alvaro pozostanie u nas zaledwie kilka dni. Zresztą, o ile go znam, takie... hm... narzucanie się bardzo lubi. A *señorita* Adams jest z pewnością atrakcyjną kobietą...

— Tobie też się podoba, co? — głos dońi Sofii aż się załamał z oburzenia. — Myślisz, że nie mam oczu? Zdażyłam zauważyć czułą scenę w laboratorium. Ona jest wyrafinowana, ale już ja dam sobie z nią radę.

Susan to wystarczyło. Zamiast wejść do domu, wróciła tą samą drogą między szklarniami. Ciągłe jeszcze kręcił się tam Rivera, lecz gdy zobaczył nadchodzącą Susan, oddalił się pośpiesznie.

Aha, moja metoda zaczyna działać, pomyślała ze złośliwą satysfakcją Susan. Facet schodzi mi z drogi. Tylko tak dalej! Zresztą nie miała teraz ochoty zaprzętać sobie nim głowy. Były ważniejsze rzeczy do przemyślenia. W uszach wciąż jeszcze brzmiały jej słowa doni Sofii. Ta kobieta z pewnością miała wobec niej złe zamiary. Ale jakie? Dlaczego tak jej zależało na tym, żeby z niej, Susan,

zrobić osobę niemoralną? W tym był jakiś ukryty cel. Przyszło jej do głowy, że ta kobieta każdej chwili pod byle pozorem może ją wyrzucić. Chyba trzeba by z nią otwarcie porozmawiać. Ale czy to ma jakiś sens? Susan nie chciała stracić pracy.

Wieczorem ktoś zapukał do jej pokoju. Okazało się, że to doña Sofia. W aroganckiej pozie stanęła przed Susan i napadła na nią.

— *Señorita* Adams, co pani sobie właściwie wyobraża?! Narzuca się pani mojemu bratu, a teraz jeszcze chce pani uwieść don Diega... Bo jak inaczej mogę sobie wytłumaczyć pani zachowanie dziś po południu! Niech się pani pilnuje, bo inaczej z miejsca panią odprawię!

Susan chciała zaprotestować, lecz doña Sofia nie dała jej dojść do słowa.

— Każdy mężczyzna leci na ładną buzię i nic z tego nie wynika, najwyżej wstyd dla dziewczyny. A ja wypraszam sobie na przyszłość flirty z moim mężem.

W Susan zawrzała krew. Utkwiwszy lodowaty wzrok w doñi Sofii spytała szydlerczo:

— Czyżby don Diego naprawdę był żonaty? Doña Sofia zaczerpnęła powietrza.

— Co pani chce przez to powiedzieć?

— Po prostu mam na ten temat całkiem inne informacje. Emilia ostatnio podsłuchiwała rozmowę między panią, *señora*, a don Diegiem i powiedziała mi, że wcale nie jesteście małżeństwem, bo on tego nie chce.

— Ta mała żmija! — Doña Sofia zagryzła wargi. — Węszy tylko i podsłuchuje! Mam nadzieję, że nie zdążyła jeszcze pani rozgłosić tego naokoło?

Ta gwałtowna reakcja upewniła Susan, że mała mówiła prawdę. Doña Sofia ciężko dyszała. Widać było, że już do reszty straciła panowanie nad sobą.

— Może pani natychmiast odejść, skoro jest pani tym tak zaszokowana.

— Ja... nie... skąd pani przyszło do głowy, że chcę odejść? — Susan była skonsternowana. — Nie obchodzi mnie, czy macie państwo ślub, czy nie. I nie mam zamiaru o tym rozpowiadać.

— Miło słyszeć — odparła cierpko dona Sofia. Zniechęta opadła z niej cała wyniosłość. Nerwowo bębniła zadbanymi palcami o blat stolika, a jej wzrok błędził niespokojnie po pokoju, zanim rzekła:

— Nie jest mi łatwo powiedzieć pani prawdę. Emilia nie zmyśla. Diego i ja nie mamy ślubu. Kocham Diega od dawna, lecz on... on... myśli tylko o swoich orchideach — jej głos się załamał. — Gdybym była czarną orchideą, miałabym u niego szansę. — Gorycz w głosie tej pięknej kobiety zaskoczyła Susan. Doña Sofia poderwała się i zaczęła chodzić nerwowo po pokoju. Nie wyglądała teraz nieprzystępnie jak zwykle, była po prostu zrozpaczona i bezradna.

— A wszystkiemu winien testament Jaime, mojego zmarłego męża — ciągnęła z pośpiechem, jakby chcąc wszystko z siebie wyrzucić. — Diego i oni byli współnikami, musi pani wiedzieć. Obaj żyli tylko orchideami, jeszcze tylko dzieci coś dla nich znaczyły, czego zresztą naprawdę nie rozumiem. Pracowali dzień i noc, aby wyhodować czarną orchideę. Gdyby im się udało, przyniosłoby to nam wszystkim fortunę. Jaime zginął, gdy prace były już bardzo zaawansowane. — Sofia na moment przerwała i podeszła do okna, po czym odwróciła się do Susan i ciągnęła dalej udreżonym głosem: — Na szczęście i nieszczęście zarazem Jaime pozostawił testament. Otrzymałam połowę udziału w interesie, bez prawa do czarnej orchidei. Orchidea należy do Diega za jego niezmordowaną pracę przy jej wyhodowaniu. Pod jednym warun-

kiem! Diego miał się ożenić ze mną i zatroszczyć o dzieci. Ale Diego nie ma zamiaru spełnić ostatniej woli brata, jeśli chodzi o mnie oczywiście.

Susan uczuła naraz litość dla tej kobiety.

— Dlaczego więc pani z nim została? Ja bym tak nie mogła!

Dona Sofia wzruszyła ramionami.

— Sama o to często siebie pytam. Pewnie dlatego, że wciąż jeszcze go kocham, choć on mnie odpycha.

Ze zwieszoną głową, chwiejnym krokiem podeszła do drzwi.

— Teraz już pani wie wszystko i mam nadzieję, że chowa pani dla siebie. Don Diego nie może się dowiedzieć o naszej rozmowie, sama pani resztą widziała, jaki potrafi być nieprzyjemny, gdy wpadnie w złość. Wolę nie myśleć, co by było, gdyby odkrył, że pani wszystko powiedziałam.

Susan opadła na poduszki. Sama nie wiedziała, co o tym wszystkim myśleć. To Diego jest taki? Zdążyła już poznać jego nagłe wybuchy złości, ale żeby być takim bez skrpułów... Czyżby z powodu pieniędzy, które miała przynieść czarna orchidea? To on zarzucał jej, Susan, że się źle prowadzi, a swoje własne życie zbudował na kłamstwie. Bolało ją to tym bardziej, że nie umiała go znieawidzić, mało tego, każdym nerwem ciała tęskniła do tego mężczyzny.

Naraz przypomniał jej się brodaty nieznajomy. On na pewno był inny, nigdy by nie odmówił spełnienia ostatniej woli brata. Choć musiała się przyznać sama przed sobą, że to akurat w Diegu ją wyjątkowo cieszyło.

Gdy wreszcie uspokojona zasnęła, śniła się jej Świątynia Słońca w Teotihuacanie i wstępujący na jej stopnie brodaty szczupły kapłan.

9

— Na litość boską, szybko! Gdzie jest don Diego?

Przeżrana Susan podniosła wzrok znad książki. Stał przed nią jeden z młodych zatrudnionych na farmie ludzi wymachując dziko rękami.

— Tutaj jestem — odezwał się don Diego z jadalni.

Młody człowiek rzucił się do drzwi, które wskazała Susan. W parę sekund później obaj wypadli jak burza z pokoju. Doña Sofia, która właśnie ukazała się w drzwiach, spytała nic z tego nie rozumiejąc:

— Co się stało?

— Ktoś się włamał do laboratorium. Na razie nie wiem nic bliższego — brzmiała krótka odpowiedź. Doria Sofia wzruszyła ramionami, Susan wróciła do przerwanej lektury.

Po kwadransie ukazał się w progu Diego, blady jak ściana i roztrzęsiony.

— Włamano się do pomieszczenia, gdzie trzymam nasiona.

— To straszne! — biadała Sofia. — Wiesz już, co zginęło?

— Myślę, że złodziej szukał... no wiesz czego.

Głos Diega brzmiał ochryple, podenerwowany jak nigdy.

Susan wmieszała się niebacznie.

— Może chodziło mu o czarną orchideę. — Zorientowawszy się, co powiedziała, odruchowo zasłoniła dłonią usta.

Diego dosłownie przygwoździł ją spojrzeniem do ziemi.

— Skąd pani wie o czarnej orchidei?

Susan gorączkowo szukała odpowiedzi. Tak głupio się wygadała! To przecież właśnie Diego nie miał się dowiedzieć o jej rozmowie z dołą Sofią.

— Nietrudno było zgadnąć — rzekła wymijająco. — Sam pan powiedział, że złodziej włamał się do pomieszczenia, gdzie trzyma pan nasiona, więc pomyślałam, że to może właśnie te...

— Nie odpowiedziała pani na moje pytanie — warknął Diego. — Skąd pani wie o czarnej orchidei?!

Susan miała ochotę zapaść się pod ziemię. Cóż mogła powiedzieć, w dodatku czując na sobie przenikliwe spojrzenie doni Sofii.

— A więc nie chce pani mówić... No cóż, w takim razie mogę panią tylko upewnić, że złodziej nie znalazł nasion czarnej orchidei, bo ich po prostu nie ma. Czarna orchidea jeszcze nie kwitła. Inaczej byłby to dla mnie straszny cios — dokończył już spokojniejszym głosem.

— Taka kradzież każdemu by się opłaciła, nieprawda, *señorita* Adams? — uśmiechnęła się podstępnie dona Sofia.

Susan spojrzała na nią nieufnie. Co miała oznaczać ta uwaga?

Diego wyszedł z pokoju, aby zadzwonić na policję. Niebawem pojawiło się na farmie dwóch funkcjonariuszy i kazało się zaprowadzić na miejsce przestępstwa. Gdy już przeszukali wszystko niczego nie znajdując, przesłuchali również wszystkie osoby na farmie i w domu.

Susan oczywiście też to ominęło. Po raz pierwszy miała do czynienia z policją. Chętnie opowiedziała, jak to

poprzedniego dnia Diego de Silva oprowadzał ją po farmie, od niej też policjanci dowiedzieli się, że oprócz niej i Diega w laboratorium byli także dofia Sofia i Alvaro Rivera. Susan zastanawiała się przez moment, czy nie powiedzieć policjantom o dziwnym zachowaniu Rivery, doszła jednak do wniosku, że zachowywał się tak z jej powodu, a policjanci mogliby pomyśleć, że stara się odwrócić od siebie uwagę wskazując na kogoś palcem. Mimo to uparcie prześladowała ją myśl, że Rivera mógł mieć coś wspólnego z kradzieżą.

Kto zatem był podejrzany? Może dona Sofia? Do niej należała połowa udziału w interesie, lecz nie czarna orchidea. Ta miałaby motyw. Czyżby chodziło jej o zysk? Lub szantaż? To ostatnie też było możliwe. Być może doña Sofia pragnęła się zemścić na Diegu, że nie chce się z nią ożenić...

Susan otrząsnęła się z rozmyślań. Co jej przyszło do głowy, żeby bawić się w detektywa? A jednak ją to nurtowało. Dofia Sofia ciągle szeptała po kątach ze swoim bratem. Może razem zaplanowali to włamanie... Jej niepokój wzrósł jeszcze, gdy w chwilę później zobaczyła dónę Sofię i Alvara spacerujących pod rękę po ogrodowych ścieżkach. Nie wyglądali na zdenerwowanych. Wręcz przeciwnie, byli w siódmym niebie, to rzucało się w oczy. Tak promiennej dofii Sofii Susan dawno nie widziała.

Po kolacji dzieci zapragnęły oglądać rodzinne zdjęcia, powyciągały więc albumy i usadowiły się na sofie. Susan chciała wrócić do swego pokoju, gdyż uważała, że ona, osoba postronna, być może nie powinna być wprowadzana w tajniki historii rodzinnej. Ponieważ jednak Roberto i Emilia bardzo nalegali, dała się wreszcie namówić i została.

Dzieci, zarumienione z emocji, snuły związane z każdą

fotografią wspomnienia. Susan, nie przyglądając się specjalnie zdjęciom, z przyjemnością przysłuchiwała się ich rozmowie.

— Popatrz, Susan — zawołał w którymś momencie Roberto. — To nasza rabatka. Właśnie ją kopiemy. Bardzo się wtedy ubrudziliśmy. „Macie więcej ziemi we włosach niż na waszej grządce” — rzekł wtedy tata pękając ze śmiechu.

Na fotografii widniało dwoje umorusanych dzieci, które z zajęciem grzebały w ziemi.

Musiała się roześmiać, lecz zaraz potem śmiech zamarł jej w gardle. Przerażona wpatrzyła się w zdjęcie, które właśnie podsuwał jej Roberto. Serce dziewczyny zabiło na alarm.

— Kto... kto to jest? — spytała bez tchu.

Mężczyzna na fotografii był wysoki i szczupły, a jego ubiór i starannie wypielegnowana broda świadczyły o wysokiej pozycji społecznej. Mimo iż na zdjęciu śmiał się wesoło, Susan z miejsca go rozpoznała: To był nieznajomy z samolotu, obiekt jej westchnień i długotrwałych poszukiwań!

— To nasz tato — rzekł Roberto z dumą.

Susan z niedowierzaniem wpatrzyła się w zdjęcie. Więc tym jej mężczyzną był zmarły przed paroma miesiącami Jaime de Silva...

Raptem zrobiło jej się czarno przed oczami. Kiedy się ocknęła, leżała na sofie, a nad nią pochylały się trzy pary przerażonych oczu. Próbowwała się podnieść, lecz kłujący ból w czaszce rzucił ją z powrotem na poduszkę.

— Moja głowa... co się stało? — spytała ledwie do słyszalnym szeptem siedzącego u wezglowia Diega.

— Traciła pani przytomność i uderzyła głową o kant stołu. Proszę nic nie mówić. Lekarz tu będzie lada chwila.

Diego sprawiał wrażenie roztrzęsionego. Lekko drżącą ręką podsunął Susan do ust szklanekę z wodą.

Nerwowo rozejrzała się po pokoju usiłując zebrać myśli, ale nic z tego nie wyszło. Jak przez mgłę zamajaczyli jej w drzwiach doña Sofia i Rivera. Potem znów zemdląła, aby ocknąć się na sali szpitalnej. Gdy otworzyła oczy, pochylała się nad nią pielęgniarka, która nic nie mówiąc skinęła pocieszająco głową i zaraz wyszła.

W chwilę potem pojawił się Diego, ujął dłoń dziewczyny i uściśnął ostrożnie. Susan za wszelką cenę starała się opanować, lecz jej się to nie udało: po prostu zaczęła łkać. Trwało to nieskończenie długo, po czym naraz jej płacz przeszedł w histeryczny śmiech.

Diego stał bezradnie obok łóżka dziewczyny, aż wreszcie pielęgniarka wyprowadziła go z sali, a Susan zaaplikowała zastrzyk uspokajający.

Gdy Susan na powrót się obudziła, była sama. Ból głowy ustąpił, lecz nadal nie potrafiła zebrać myśli. Co się właściwie stało? Ile czasu spędziła w szpitalu? Naraz uświadomiła sobie, że podczas długich godzin zamroczenia śniła o brodatym mężczyźnie z samolotu. Jej serce ścisnęło się z bólu nie do zniesienia. On nie żył... Człowiek, którego poszukiwała, musiał umrzeć, tuż po jej przybyciu do Mexico City. Gdy go pierwszy i jedyny raz spotkała, wyglądał na zrozpaczonego. Czyżby targnął się na swoje życie? Wolała o tym nie myśleć.

Z niecierpliwością oczekiwała odwiedzin. Wreszcie do sali wpadł Roberto i przywarł do niej w czułym uścisku.

— Już ci lepiej? — spytał z niepokojem.

— Ależ tak! — skłamała Susan, choć raz po raz kręciło jej się w głowie.

— A ja tak się bałam, że ty też umrzesz — przyznał się szczerze chłopiec. — Gdy tata umarł w szpitalu, nikt mi...

— jego głos się załamał — nikt mi o tym nie powiedział.

— Jak do tego doszło? — spytała Susan z wymuszo-

nym spokojem. — Nigdy mi o tym nie opowiadałeś, a może trzeba. Wtedy będzie ci łatwiej...

— Tata zginął w wypadku samochodowym. Jechał taksówką, na którą najechał wielki samochód ciężarowy. Taksówkarz zginął na miejscu, ciężko rannego ta tę przewieziono do szpitala, gdzie w godzinę potem umarł...

Roberto otarł łzy. Pociuszającym gestem Susan przyciągnęła chłopca do siebie. Milczała, bo i cóż mogła mu powiedzieć?

Jednego się dowiedziała: to nie było samobójstwo...

Już następnego dnia Susan mogła opuścić szpital. Lekarz nakazał jej oszczędzać się jeszcze przez jakiś czas.

— Ma pani szczęście, *señorita*. Przy tak silnym urazie głowy mogło się z tego wywiązać coś naprawdę poważnego.

Diego przyjechał po nią samochodem, a ponieważ była jeszcze bardzo słaba, wniósł ją jak kiedyś na rękach do pokoju.

— Proszę się teraz przespać — poradził zmierzając na palcach do drzwi. — Zajrzę do pani później.

Po kilku godzinach snu Susan czuła się zdecydowanie lepiej. Rzuciła przelotne spojrzenie do lusterka i przerażona widokiem swej fryzury rozejrzała się za swoją torebką.

W tym momencie wszedł Diego.

— Widzę, że czegoś pani szuka. Mogę pomóc?

— Tak, torebki. Leży chyba tam pod oknem.

Podawszy jej torebkę przysiadł obok na łóżku.

— Susan — zaczął z wahaniem — jeśli ma pani jakieś kłopoty, proszę mi powiedzieć. Może będę umiał pani pomóc...

Susan spojrzała na niego z irytacją. Prawdopodobnie chce wiedzieć, dlaczego zemdlalam na widok głupiej foto-

grafii, przemknęło jej przez głowę. Naraz wydało jej się to wszystko bardzo głupie, oczywiście jednak nie chciała mówić o tym z Diegiem.

Milcząc wyjęła z torebki szczotkę do włosów... i zamarła. Ze szczotki spadło na kódrę kilka małych czarnych ziarenek... Próbowala je niepostrzeżenie strząsnąć, lecz Diego już zdążył je zobaczyć.

— Skąd to pani ma? — krzyknął zrywając się na równe nogi.

Przeżona Susan upuściła szczotkę przyglądając się niemo, jak Diego zbiera nasiona. Tak, bo to były nasiona! Kiedy sobie to uzmysłowiła, lodowaty dreszcz przebiegł jej po plecach.

Oczy Diega miotaly błyskawice, a twarz była wykrzywiona złością.

— A więc mamy złodzieja!

— Co... co pan powiedział? — wybelkotała.

— Niech pani nie udaje. Doskonale pani wie, co mam na myśli — warknął na nią Diego. — Mogłem się domyślić. Stawiała pani tyle pytań! Nie można pani wierzyć! Jestem wściekły na siebie, że nie wyrzuciłem pani zaraz pierwszego dnia. A więc wśliznęła się pani do mojego domu, aby ukraść czarną orchideę, tak? — z furią potrząsnął ją za ramiona.

— O czym... pan... mówi? — wyjąkała Susan, bliska ponownego omdlenia.

— O nasionach, które zostały skradzione z mojego laboratorium, *senorita* Adams — wycedził przez zęby. Jego oczy przypominały szparki.

— W jaki sposób miałyby trafić do mojej torebki? — rzuciła z rozpaczą.

— Co za głupie pytanie! Sama pani je tam ukryła!

Jego nabrzmiały szaleństwem głos smagnął dziewczynę jak biczem. Wreszcie pojęła. On rzeczywiście uważa ją za

złodziejkę... W tymże momencie otworzyła się przed nią
przepaść. Spadając nie broniła się.

Głos Diega dochodził teraz z oddali.

— Susan! Susan! Ja wcale tak nie myślałem!

Zapadała się coraz głębiej, aż wreszcie otoczyła ją cisza,
gdzie już nie było żadnych myśli.

RRS

10

Była cała zlane potem, a jej głowa pękała z bólu, gdy obudziła się z niespokojnego snu. Natychmiast przypomniała sobie, co zaszło. Oskarżycielskie słowa Diega nieubłaganie dźwięczały jej w uszach.

Nagłym ruchem zerwała się z łóżka i oprzytomniawszy do reszty usiadła. Nie pozwoli sobie na rezygnację, o nie, za nic w świecie. Musi działać, i to szybko.

Diego myśli, że to ona jest złodziejką. Jak łatwo przechodziły mu przez usta te bezlitosne słowa! Z taką samą łatwością, z jaką przyszło mu uwierzyć w pomówienia Lucii, że narzuca się Riverze.

Zdenerwowanie i wściekłość nie pozwalały Susan zebrać spokojnie myśli. Raz po raz sama siebie prosiła o spokój, usiłując na chłodno zastanowić się nad upokarzającą sytuacją, w jakiej się znalazła.

Na pewno ją wyrzucą. Pod żadnym pozorem nie pozwoli przecież, aby dziećmi zajmowała się złodziejka i łowczyni przygód. A jej tak dzieci przypadły do serca! Poza tym podejrzewano ją niesłusznie. Musiała to udowodnić, choć nie miała pojęcia, jak to zrobić. Najlepiej byłoby samej złapać złodzieja!

Przyszło jej na myśl, że powinna zacząć od wczucia się w położenie przestępcy. Jeśli rzeczywiście chciał ukraść

czarną orchideę, a znalazł tylko nasiona pospolitych odmian, z pewnością będzie usiłował dokonać włamania jeszcze raz. Za to teraz padnie jego łupem cała roślina, to było łatwe do przewidzenia. Susan wiedziała od Diega, że ten gatunek orchidei ma niedługo zakwitnąć, a więc złodziej musi się śpieszyć.

Ułożyła sobie cały plan. Najpierw musi się dowiedzieć, gdzie stoją doniczki z sadzonkami czarnej orchidei, a potem, kiedy przychodzą i wychodzą pracownicy. Nie pozostawało więc nic innego, jak dzień i noc śledzić szklarnie. Ale jakże ma się jej to udać, skoro ona swoje obowiązki przy dzieciach, a jako osoba podejrzana powinna trzymać się jak najdalej od szklarni i laboratorium?

Mimo to postanowiła działać. Już na samym początku natknęła się na nieprzewidziane trudności. Po długim leżeniu drżały pod nią kolana, a w głowie się kręciło.

Tylko się nie dać! Usiłując przezwyciężyć słabość, zmusiła się do przejścia paru kroków po pokoju. Poszło nieźle. Susan czuła, jak jej puls, zrazu przyspieszony, powoli się uspokaja. Z trudem, co chwilę odpoczywając, ubrała się, ostrożnie otworzyła drzwi i wyjrzała na korytarz. W domu panowała cisza. Na czubkach palców zesła parę stopni niżej. Przez okno dojrzała, że Roberto, Emilia i Lupe, córka kucharki, bawią się w ogrodzie. Diego, Sofia i Rivera musieli być gdzieś na zewnątrz.

Mam nadzieję, że nie poszli do szklarni, pomyślała Susan w popłochu. Ale nawet świadomość, że mogłaby ich tam spotkać, nie potrafiła odwieść dziewczyny od raz powziętego zamiaru. Co raz przystając dla zaczerpnienia tchu, gdyż była jeszcze bardzo słaba, uparcie szła naprzód, raz po raz rozglądając się naokoło, co rusz też przystawała nadsluchując. Upewniwszy się, że nie ma nikogo w pobliżu, ostrożnie zajrzała do pierwszej z brzegu szklarni. Tym razem nie interesowały ją wspania-

łe kwiaty, szukała roślin, które nie zdążyły jeszcze zakwitnąć.

Wędrując tak od szklarni do szklarni stwierdziła z rozczarowaniem, że musiałyby minąć dni, zanim wśród tego mnóstwa sadzonek odnalazłaby czarną orchideę. Odnalazłaby? A w jaki sposób miała ją rozpoznać? Ta myśl dosłownie ścięła ją z nóg. Jakże nie znając różnic pomiędzy poszczególnymi odmianami, czy choćby tylko kształtu liści, mogła odnaleźć czarną orchideę wśród długich rzędów roślin?

Należało się zastanowić. Diego z całą pewnością swoje eksperymenty z tą rzadką odmianą przeprowadzał w tajemnicy, z dala od niepożądanych oczu, rośliny musiały być zatem gdzieś pod zamknięciem, gdzie nie każdy miał do nich dostęp. Susan była wściekła na siebie, że wcześniej nie przyszło jej to do głowy.

Nagle usłyszała zbliżające się głosy. Jak sparaliżowana, z nogami wrośniętymi w ziemię, zaczęła nad słuchiwać, skąd dochodzą. Na śmierć przy tym zapomniała, że jest w szklarni i że widać ją jak na dłoni ze wszystkich stron. Na ucieczkę czy ukrycie się było za późno, więc gdy do szklarni wszedł Diego w towarzystwie dońi Sofii, Rivery i jakiegoś obcego mężczyzny, poczuła się przyłapana na gorącym uczynku.

Diego zdumiał się na jej widok. Zaraz jednak zwrócił się do obcego i rzekł z gniewem:

— *Señor Gomez*, widzi pan tę kobietę? Nie wolno jej pod żadnym pozorem przebywać na terenie farmy, rozumiano?

— Tak jest, Don Diego zasalutował obcy, patrząc przy tym surowo na Susan. Dopiero teraz uświadomiła sobie, że to jeden z policjantów, którzy prowadzili na farmie dochodzenie w dniu włamania. Tym razem był w cywilu, stąd go nie poznała.

Doña Sofia i jej brat wymienili wiele mówiące spojrzenia. Poszeptali ze sobą, patrząc przy tym złośliwie na dziewczynę. Susan to bladła, to czerwieniła się ze wstydu i bezsilnej złości. Jeszcze nigdy nie zaznała takiego upokorzenia! Uciekać! Owładnięta tą jedną myślą pobiegła tak szybko, jak pozwoliły jej na to nogi, zatrzasnęła za sobą drzwi swego pokoju i rzuciła się na łóżko bijąc miotaną rozpaczą o poduszki i przeklinając przy tym Diega.

Cóż to za obrzydliwy facet! Rzuca oskarżenia na innych, jakby sam był uosobieniem niewinności, a do tego mu daleko! Łkała nie mogąc się uspokoić, lecz wybuch dobrze jej zrobił. Powoli przychodziła do siebie.

Raptem przypomniała jej się rozmowa z dofią Sofią. Co tę kobietę trzymało przy boku człowieka takiego jak Diego — podatnego na sugestie, skłonnego do niekontrolowanych wybuchów złości, jednym słowem niezrównoważonego? Teraz na nowo postawiła sobie to pytanie i w ułamku sekundy dokonała odkrycia, które ją na moment dosłownie sparaliżowało. Doña Sofia kochała na swój sposób Diega, dlatego godziła się znosić jego humory. A czyż z nią, Susan, było inaczej? Dla niej też Diego, ten niemożliwy, trudny niekiedy do zniesienia Diego znaczył bardzo wiele. Dlatego więc była taka wściekła i rozgoryczona. Gdyby nic dla niej nie znaczył, wrzuciłaby ramionami i odeszła, nie oglądając się na to, że dzieci autentycznie jej potrzebują. To był zwykły wykręt przed samą sobą. To nie dla dzieci chciała zostać, chociaż szczerze je lubiła. Coś jej podpowiadało, że z Diegiem mogłaby być niewiarygodnie szczęśliwa...

Nic z tego nie rozumiała. Ona, idealistka, jak nazywały ją z przekąsem koleżanki, zakochała się w mężczyźnie, który wcale nie był wzorem wszelkich cnót, lecz człowiekiem porywczym, czasem nawet niesprawiedliwym, dającym się łatwo ponosić emocjom. W dodatku Diego był

związany z inną kobietą, a dona Sofia nigdy z niego nie zrezygnuje. A poza tym jaki był właściwie stosunek Diega do niej? Bywały momenty, kiedy wydawało jej się, że naprawdę ją lubi, więcej, że spogląda na nią z niemym pytaniem w oczach... Ale ten sam człowiek rzucił na nią tyle oskarżeń...

— Ja chyba zwariuję! — jęknęła łapiąc się za głowę.

Przez cały czas sądziła, że kocha brodatego mężczyznę z samolotu, a tak naprawdę kochała innego. Shirley miała rację. Nieznajomy z samolotu był fantomem, uosabiał mężczyznę, jakiego pragnie każda kobieta, nie dziw więc, że Susan wmówiła sobie, iż istnieje naprawdę. Tęskniła za kimś nierealnym, rzeczywistością natomiast był człowiek, do którego miała mnóstwo zastrzeżeń. I o zgrozo! Tego właśnie kochała.

Nie pozostało jej nic innego, jak uciec z tego domu, nie pozwolić, aby ją podejrzewał, może nawet śledził, raz na zawsze stracić go z oczu.

Lecz Susan była też uparta. Nie odejdzie, nie udowodniwszy swej niewinności. Wtedy dopiero będzie mogła mu wykrzyknąć wszystko w twarz. A że rana długo jeszcze będzie boleć, choć Susan znajdzie się z dala od niego, to już inna sprawa.

Jedno było pewne. Powinna zrealizować swój plan.

Kapanie i kładzenie dzieci do łóżek zajęło jej tego wieczoru wiele czasu. Chciała nacieszyć się każdą spędzoną z nimi minutą, jako że jednak postanowiła odejść. Nikt nie będzie nią pomiatał, traktując jak przestępczynię! Przedtem jeszcze miała w każdym razie wiele do zrobienia. Otuliwszy dzieci kołdrami, przeczytawszy im coś na dobranoc i ucałowawszy je zgasiła lampę i wyszła z pokoju chcąc wrócić do siebie. Nie uszła jednak daleko, gdyż dofia Sofia zawołała za nią namawiając na partię brydża.

Susan z niechęcią zacisnęła wargi. Tylko tego jej jeszcze

brakowało! Miała przecież ważniejsze rzeczy na głowie niż zabawianie chlebobawczyni. Inna rzecz, że doña Sofia śmiertelnie się nudziła w Oaxaca, i Susan doskonale o tym wiedziała. Najczęściej krążyła po domu jak schwywane zwierzę, nie umiając znaleźć sobie żadnego zajęcia. Po prostu nie wiedziała, co ze sobą począć, tutaj, na prowincji, gdzie brakowało eleganckich przyjęć i rozrywek, które oferowało wielkie miasto.

Susan z oporami wewnętrznymi zeszła na dół, lecz w tym momencie przyszedł jej niespodziewanie w sukurs Diego.

- Sądę, moja kochana, że powinniśmy dać *senoricie* Adams wypocząć pod wydarzeniami ostatnich dni. Będzie lepiej, jak się położy spać.

Była to wyraźna kpina, lecz Susan udała, że tego nie zauważa, tak samo jak starała się nie widzieć posepnego spojrzenia Sofii.

— Jestem rzeczywiście zmęczona — rzekła tłumiąc ziewanie. — Zagramy innym razem.

— Dobranoc, *senorita* Adams. Życzę pięknych snów — odezwał się z głębi pokoju Alvaro, odsłaniając w kpiącym uśmiechu wszystkie zęby. Aż się cała zatrzęsła ze złości, lecz ograniczyła się tylko do rzucenia mu pogardliwego spojrzenia.

Wróciwszy do swego pokoju wyciągnęła z szafy czarne sztruksowe spodnie i czarny pulower, przygotowując się na długą chłodną noc pod gołym niebem, kiedy będzie obserwować szklarnie, sama w miarę możliwości pozostając niewidzialna. Potem zgasiła światło i usiadła w fotelu. Musiała poczekać, aż wszyscy pójda spać. Nie mogła ryzykować, w domu musiał panować absolutny spokój.

Zegar właśnie wybił dziesiątą, gdy Susan usłyszała, że ktoś wchodzi po schodach. Z napięciem zaczęła nasłuchiwać, aż wreszcie doszedł ją odgłos zamykanych drzwi,

po którym zapanowała cisza. Już już miała nacisnąć klamkę, gdy usłyszała słabe skrzypienie podłogi tuż obok swego pokoju. Zatrzymała się wpół ruchu, nie śmiejąc nawet oddychać. Ktoś koniecznie chciał się przekonać, czy ona już śpi!

Miała wrażenie, że minęła wieczność, zanim podłoga ponownie zaskrzypiała pod oddalającymi się krokami. Susan stała jeszcze przez chwilę bez ruchu, w nadziei, że się nie zdradziła. Gdzieś w głębi domu ktoś otwierał drzwi...

To musiał być złodziej! Była tego pewna! Nie wiedziała, co ją w tym upewniło, a jednak była absolutnie przekonana, że się nie myli. Oczekała jeszcze chwilę, zaczerpnęła głęboko powietrza, po czym ostrożnie nacisnęła klamkę i wysunęła się na korytarz. Jej serce biło jak oszalałe ze strachu i emocji. Na palcach zeszła ze schodów rzucając krótkie spojrzenie w głąb salonu i przebiegł jej po plecach zimny dreszcz. W bladym świetle księżyca ogromny pokój wyglądał wręcz niesamowicie. Długie czarne cienie nadawały meblom posępny wygląd.

Niemalże biegiem dotarła do drzwi. Otworzyły się cicho. Udało się! Przebiegła kuląc się parę kroków i skryła w niszy. Tutaj naciągnęła na drżące palce rękawiczki i zebrała się w sobie. Mogła zaczynać zabawę w detektywa!

Cała okolica sprawiała upiorne wrażenie, skapana w blasku stojącego w pełni księżyca, gdy kryjąc się w cieniu drzew i za krzewami skradała się ku szklarniom. Wszystko wyglądało tu zupełnie inaczej niż w dzień. Susan zagryzła wargi starając się zapanować na lękiem i myśleć logicznie. Złodziej musiał wiedzieć, gdzie szukać czarnej orchidei, wystarczyło więc tylko go wytropić i przemykać się za nim. Mozolnie sunęła do przodu, raz po raz przypadając do ziemi, aż wreszcie osiągnęła dróżkę między dwiema szklarniami. Dysząc z wyczerpania przystanęła na moment. Kolana drżały pod nią niebezpiecznie. Każdy szelest mógł ją zdradzić, nawet oddech.

Raptem doszło ją skrzywienie żwiru na ścieżce. Jednym susem skryła się za szklarnią kurczowo przywierając do ściany.

Kroki zbliżały się. Na moment przymknęła oczy modląc się w duchu, aby w zasięgu jej ręki znalazło się coś, czym w razie potrzeby mogłaby się obronić. Jakie to głupie z jej strony, że wcześniej o tym nie pomyślała!

Mężczyzna, który się teraz oddalał od kryjówki dziewczyny, miał przy boku pałkę. Susan odetchnęła z ulgą. To przecież był *señor* Gomez, który na prośbę Diega pełnił straż przy szklarniach. Przez moment nawet zastanawiała się, czy aby nie ujawnić się i nie zagadnąć policjanta, wołała jednak nie ryzykować. Diego przecież zabronił jej przebywać w pobliżu szklarni — *señor* Gomez doskonale o tym wiedział, bo to właśnie w jego obecności padło owo kategoryczne żądanie. Zresztą w tym czasie prawdziwy złodziej jak nic mógł się ulotnić z orchideami.

Bezszelestnie oderwała się od błogosławionego cienia ściany i przemknęła między krzewami. Tu znów zastygła w bezruchu. Na razie nic się nie działo, zaczęła nawet wątpić, czy złodziej rzeczywiście przyjdzie tej nocy.

Naraz znowu usłyszała szelest i aż przysiadła z przerażenia. To nie był policjant! W jej stronę przemykała się skulona postać z wydłużonym przedmiotem pod pachą. Susan rozpoznała go na pierwszy rzut oka. Rivera! Poczekała, aż minie jej kryjówkę, i ruszyła za nim, starając się posuwać w tym samym tempie co on. Przed ostatnią szklarnią na krótko zniknął jej z oczu. Cała zamieniła się w słuch. Nie umkniesz mi, ty draniu, zaklęła w duchu. Zaraz jednak odkryła go na nowo. Rivera jakimś cudem znalazł się przy drzwiach szklarni i teraz majstrował przy zamku. Długim przedmiotem, prawdopodobnie łomem, wyłamał wreszcie drzwi, gdyż zamek nie chciał puścić, po czym zniknął we wnętrzu. Susan wykorzystwała ten mo-

ment, aby przypaść do szklarni, lecz nieledwie w tej samej chwili pojawił się Rivera niosąc kilka małych doniczek. Na szczęście jej nie zauważył, choć znajdowała się tak blisko, że z powrozeniem mogłaby dotknąć ją ręką. Tkwiąc w głębokim cieniu, wstrzymała oddech i gorączkowo zastanawiała się, co dalej. Sama nie da rady obezwładnić Rivery, lecz przecież nie mogła pozwolić mu ujsć bezkarnie z łupem! Trzeba przywołać Gomeza!

W tymże momencie ktoś rzucił się na nią, zadając cios w głowę. W oczach jej pociemniało i osunęła się na ziemię, nie straciła jednak przytomności. To on, Rivera!

Wypatrzył ją! Chciał ją zabić, to pewne. Ostatkiem sił podniosła się z ziemi masując obolałą głowę i ruszyła z powrotem tą samą drogą. Gdzie znaleźć policjanta? Farma była rozległa. Wreszcie go dopadła trzymając się na nogach wysiłkiem woli i stanęła przed nim nie mogąc złapać tchu.

— *Senor Gomez!* Niech pan szybko idzie ze mną. Złodziej znowu włamał się do szklarni, widziałam go na własne oczy, zanim mnie zdzielił w głowę.

Zaskoczony policjant zmierzył ją chmurnym wzrokiem.

— *Senorita,* Don Diego surowo zakazał pani pojawiać się na farmie. Co pani tu robi o tej porze?

— To teraz nieważne. Niech pan idzie ze mną. Włamywacz wykrał ze szklarni parę doniczek. Jeśli się nie pośpieszymy, nie będzie po nim śladu!

Gomez podrapał się niedowierzająco w głowę, westchnął i bez przekonania ruszył za Susan.

Oczywiście Rivery już przy szklarni nie było, na miejscu znaleźli tylko porzucony łom i kilka zgubionych sadzonek. Susan ostrożnie podniosła z ziemi jedną z nich. To była z pewnością czarna orchidea!

Schyliła się chcąc pozbierać pozostałe.

— Niechże mi pan pomoże! — zażądała niecierpliwie od policjanta.

Gomez ani drgnął, lustrując Susan podejrzliwym spojrzeniem.

— Powiedziała pani, że widziała złodzieja i że złodziej uderzył panią w głowę. Coś tu się nie klei! Myślę, *senorita*, że będzie lepiej, gdy zawołam don Diega. Pójdzie pani ze mną! — rozkazał chwytając dziewczynę bezceremonialnie za ramię.

Zbita z tropu Susan wpatrywała się w policjanta nic nie rozumiejąc.

— Ależ ja nic...

— Niechże ją pan zostawi, *senor Gomez*. Już ja ją wypytam.

Susan odetchnęła słysząc głos don Diega, przy czym całkiem uszedł jej uwagi jego złowróźbny ton.

— Całe szczęście, że pan jest! To był Rivera! Widziałam na własne oczy! Nie ma mowy o pomyłce. Tym żelastwem sforsował drzwi. Widziałam, jak wynosił rośliny. — Ze zdenerwowania głos odmawiał jej posłuszeństwa.

W tym momencie jak spod ziemi wyrosli *dona Sofia* i *Rivera*.

— To wprost niepojęte, co *senorita Adams* mi przypisuje. — Szczęki *Rivery* wręcz chodziły ze złości. — Ja wam opowiem, jak naprawdę było. To ona zamierzała ukraść rośliny. Gdy usłyszała nadchodzącego *senora Gomez*a, spłoszona porzuciła doniczki i uciekła, a teraz chce wszystko zrzucić na mnie. Na szczęście *senor Gomez* ją ujął.

Susan zaniemówiła słysząc to jawne oskarżenie.

— Poświadczy pan to? — spytał *Diego Gomez*a.

— Tak, zgadza się, byłem w pobliżu — rzekł z namysłem *Gomez*. — Usłyszałem jakiś szelest, więc ruszyłem co prędzej w tym kierunku. Złodziej prawdopodobnie mnie zauważył, ale czy była to *senorita Adams*, nie mogę z całą pewnością stwierdzić. Równie dobrze mógł być to kto inny.

— Tutaj jest łom, którym dokonano włamania. Muszą być na nim odciski palców — zdjęta rozpaczą Susan nagle odzyskała mowę.

— Policja nie znajdzie odcisków palców — wmieszała się szyderczo doña Sofia — ma pani przecież rękawiczki na rękach.

Jak na komendę Susan utkwiała wzrok w dłoniach Rivery. Niedbałym gestem uniósł je do góry.

— Rękawiczki można każdej chwili ściągnąć i wyrzucić! — wydyszała.

Diego przeciął sprawę.

— Na teraz dość! Nie da się w tej chwili udowodnić, kto naprawdę jest sprawcą. Chodźmy lepiej spać. Rano się zobaczy, co dalej.

Odwrócił się i zniknął w ciemności.

— Ja tu jeszcze zostanę — oświadczył Gomez i ruszył ponownie w obchód.

Rivera obrzucił zjadliwym spojrzeniem Susan.

— Nie uda się pani tak łatwo zrobić ze mnie kryminalisty! — syknął.

Z trudem panując nad łzami nie pozostała mu dłużna.

— Niedługo się pan będzie cieszył nieposzlakowaną opinią, ręczę panu.

— To bezczelność! — zachnęła się doña Sofia.

Susair nie oglądając się, goniona szyderczym śmiechem Rivery, puściła się w stronę domu, lecz tu już czekał na nią don Diego.

— *Senorita Adams*, czyż raz na zawsze nie zabroniłem pani kręcić się po farmie? — Jego twarz była nabrzmiała, głos dyszał wściekłością. — Zdaje pani sobie sprawę, że w jedną noc mogła pani zniszczyć pracę całych siedmiu lat? Jeśli eksperyment się nie uda, będę to zawdzięczał wyłącznie pani! Wie pani, co to znaczy? Nie, tego pani naturalnie nie rozumie, i nie zrozumie nigdy! Moja praca

nic dla pani nie znaczy. Jeszcze raz ostrzegam! Wystarczy, że zobaczą panią w okolicy szklarni, a natychmiast zostanie pani zwolniona.

Oczy Susan zwięzły się w szparki.

— Don Diego — wyrzuciła z siebie gwałtownie. — Czy nie dotarło do pana, że dziś wieczorem ryzykowałam dla pana życie?! Rivera uderzył mnie w głowę. Mógł mnie zabić. Ja chciałam panu tylko pomóc, a zamiast podziękowania rzuca się na mnie oskarżenia!

— Niech pani przestanie histeryzować! — rzekł chłodno Diego. — Jest późno, chcę wreszcie iść spać.

Z posępną twarzą odwrócił się ku schodom. Susan została sama trzęsąc się ze złości i upokorzenia. Nie umiała w tej chwili powiedzieć, kogo bardziej nienawidzi: Riverę czy Diega.

RRS

11

Świtało, kiedy Susan się obudziła i od razu oprzytomniała, uświadamiając sobie, jak własne ambicje detektywistyczne jeszcze pogorszyły jej już i tak nie najlepszą sytuację w domu de Silvów. Nie wiedziała tylko, czy od razu, wczesnym rankiem powinna wyjechać, czy też zacisnąć zęby i jakimś sposobem postarać się o to, aby Rivera się zdradził. Jeśli Rivera rzeczywiście chce ukraść czarną orchideę, musi się jeszcze raz włamać, to pewne. Wtedy wpadnie w pułapkę i nie będzie mógł zwalić winy na nią. Nie daruje, musi wytrzymać do tego momentu.

Podjąwszy decyzję, próbowała jeszcze zasnąć, lecz tylko przewracała się bezsenność w łóżku z boku na bok. Natłok ponurych myśli nie dawał jej chwili wytchnienia.

W następnych dniach musiała się z tym pogodzić, że Diego i dona Sofia, o Riverze nie wspominając, odnoszą się do niej co najmniej z rezerwą. No cóż, była na to przygotowana, mimo wszystko jednak bardzo ją to bolało. Tak ostentacyjnie okazywano jej oziębłość, że dziewczyna wiele razy w ciągu tego czasu miała ochotę wszystko rzucić i uciec gdzie pieprz rośnie. Przecież nie zasłużyła sobie na to, ale jak miała udowodnić swoją niewinność?!

Tylko dzieci darzyły ją jak zwykle miłością i przywiązaniem, nie pojmując niczego z rzeczy, które zaprzętały

umysły dorosłych. Zdarzyło jej się też przeżyć coś, co było promyczkiem słońca w jej smutnym teraz życiu. Zmierzała właśnie do ogrodu, gdy nagle doszedł ją zza krzaka jakiś szelest. Przystanąła nad słuchując.

— Uważaj, Roberto! Jeśli cię usłyszy, cała niespodzianka na nic — rozległ się szept Emilii.

Susan nie wiedziała, czy iść dalej, była jednak ciekawa, co takiego dzieci znowu wymyśliły. Nagle stanęła jak wryta, nie wierząc własnym oczom. Na ogrodowej dróżce stała Emilia, a obok klęczał Roberto trzymając w ręku szynę. Bardzo powoli, krok za krokiem Emilia "postępowała" do przodu. Trochę oczywiście jeszcze kulała, najważniejsze jednak było to, że mogła poruszać się bez pomocy szyny. Twarz Roberta promieniała, taki był dumny z siostry.

Emilia przeszła wolno parę kroków dzielących ją od Susan i drżąc z podniecenia wpadła w jej ramiona.

— Emilio — szepnęła Susan. — To... najpiękniejszy prezent, jaki od ciebie otrzymałam.

Nie mogąc powstrzymać łez radości, wzięła dziewczynkę na ręce i mocno przytuliła do siebie.

— Byłem pewny, że to kiedyś musi nadejść — rozległ się w tym samym momencie męski głos. Susan drgnęła, a jej twarz skamieniała, gdy poznała Diega.

— Wujku Diego, widziałeś! Musiałeś widzieć! Mogę chodzić! Mogę chodzić!

Oczy Diega błyszczały, gdy odbierał małą z ramion Susan. Tak szczęśliwym dawno go nie widziała. Uklękła obok Roberta pytając:

— To między innymi i twoja zasługa, Roberto, prawda? Jesteś wspaniałym bratem.

Roberta rozpieszczała radość i duma.

— To ona sama... — przyznał mimo to skromnie, — Ja jej tylko trochę pomogłem...

- — Pobiegnij teraz do mamy i opowiedz jej o wszystkim.

Na pewno się ucieszy. — Susan mówiła te słowa bez przekonania, zdając sobie sprawę, że tak zimnej kobiety nie nie zdoła poruszyć, jeżeli nie dotyczy jej samej.

Rzuciła przelotne spojrzenie na Diega z Emilią w objęciach zamierzając odejść, lecz Diego ją zatrzymał.

— *Señorita*, dziękuję pani. Te dzieci tyle pani zawdzięczają... I my także. Tak, tak, jesteśmy winni pani podziękowanie.

Susan uśmiechnęła się niepewnie, ale w głębi duszy niezmiernie ucieszyła się tym, co usłyszała. Pogrążona w myślach wróciła do swego pokoju.

Nieustannie wypytywała samą siebie, dlaczego Diego od razu jej nie zwolnił, ograniczając się do ostrzeżenia. Przecież na pewno wierzył bardziej Riverze, członkowi rodziny, niż jej, obcej skądinąd osobie. Teraz poznała odpowiedź. Mimo wszystko dzieci znaczyły dla niego więcej niż hodowla orchidei. Była im potrzebna — i on doskonale o tym wiedział. Nie chciał skrzywdzić dzieci, które tak bardzo łaknęły odrobiny serca, nie znajdując go u matki.

Westchnęła. W stosunku dońi Sofii do niej niestety nic się nie zmieniło i wyglądało na to, że nigdy się nie zmieni. Ta kobieta z niepojętych powodów jej nie cierpiała. Na każdym kroku robiła złośliwe uwagi pod jej adresem i traktowała dziewczynę z góry, nawet pogardliwie. Susan była wstrząśnięta egoizmem tej kobiety. Doria Sofia nie kochała własnych dzieci, nie mając najmniejszego zrozumienia dla ich potrzeb i spraw. Zapatrzona we własne odbicie nie dostrzegała nikogo obok.

Dni mijały i nic specjalnego się nie zdarzyło. Susan cały swój czas poświęcała dzieciom.

Lecz jej niepokój nie zniknął, a nawet się pogłębił. Niecierpliwie czekała na kolejny ruch Rivery, licząc na to, że wreszcie popełni błąd. Niestety, wyglądało na to, że nie

w głowie mu teraz czarna orchidea, w każdym razie nic nowego nie przedsięwziął. Widząc Susan rzucał pod jej adresem drwiące uwagi usiłując sprowokować, lecz Susan odprowadzała go z zimnym uśmiechem.

Pewnego ranka zatrzymał ją w przedpokoju.

— *Señorita* Adams — szepnął zaglądając jej w oczy. — Zakopmy topór wojenny. To przecież głupio tak się nawzajem podejrzewać. Proponuję pani interes, który na pewno się pani spodoba.

Susan spojrzała na niego podejrzliwie i odtrąciła wyciągniętą rękę.

— Nie interesują mnie interesy z panem. Niechże mi pan pozwoli przejść, panie Rivera.

— Niech pani posłucha — ciągnął nie zrażony. — To co chce pani powiedzieć, nikogo nie obchodzi, przejdźmy zatem do ogrodu.

Susan zawahała się. Było jasne, że Alvaro coś knuje. Ciekawość jednak wzięła górę. Mimo to postanowiła się z nim jeszcze podroczyć.

— Wykluczone — rzekła celowo podniesionym głosem. — Jeśli naprawdę ma mi pan coś do powiedzenia, może pan spokojnie zrobić to tutaj.

— Niech pani nie będzie taka zarożumiała, *señorita*. Nie uda się pani mnie tak po prostu zbyć.

Mimo że się wzdrgała, ujął ją za rękę i pociągnął za sobą. Gdy oddalili się już spory kawałek od farmy, zrobiło jej się nieswojo w towarzystwie tego człowieka i przystanęła.

— Dokąd mnie pan ciągnie? — rzuciła niechętnie. — Nie jestem ciekawa, co ma mi pan do powiedzenia, zresztą gdyby tylko o to chodziło, zrobiłby pan to już dawno. Wracam.

— To jeszcze tylko kawałek stąd — nie rezygnował Rivera.

Droga wiła się teraz przez las, wreszcie osiągnęła dość wysoko położoną polanę. Tu Rivera raptem chwycił ją za ramię.

— A teraz, moja słodka, rozprawię się z panią — syknął. Jego oczy rzuciły złe błyski. Zanim Susan zdążyła wykrztusić słowo, wyciągnął z kieszeni pistolet i zaczął wymachiwać dziewczynie przed nosem.

Z pogardą spojrzała na niego. Z pewnością chce ją tylko nastraszyć. Jednak w skrytości ducha czuła niepokój.

— Pan zwariował! Niechże pan zabierze ten pistolet!

— *Senorita!* — warknął Rivera. — To ja tutaj wydaję rozkazy, rozumiano?!

Susan zadrżała. Teraz dopiero ogarnął ją prawdziwy lęk, starała się jednak nie okazać tego po sobie.

— Niech pan przestanie! Przecież i tak nie ośmieli się pan strzelić. Strzał byłoby słyhać na całe mile stąd. A co zrobiłby pan z moim ciałem? Zaczarowałby je pan w kamień? — kpiła, lecz tak naprawdę było jej nie do śmiechu. Rivera był po prostu groźny, tym groźniejszy, że Susan wiedziała o jego sprawkach.

— Strzału nikt nie usłyszy, może być pani całkiem spokojna. Jesteśmy zbyt daleko od jakichkolwiek zabudowań. Nie musi się zresztą pani bać, nie zastrzelę pani. Szkoda takiego ładnego stworzenia.

— Pan naprawdę zwariował! — uniosła się Susan.

— Przykro mi, *senorita*. Zmusza mnie pani do podjęcia wyjątkowych środków. Śledzi mnie pani, podgląda. Myśli pani, że tego nie widzę? Mam już tego dość. Jest pani jedyną osobą, która wie, jak bardzo mi zależy na czarnej orchidei. I zdobędę ją, to oczywiste, muszę się tylko zatroszczyć, żeby mi pani więcej nie bruździła.

— A więc przyznaje się pan do włamania? — wydyszała.

— Teraz już może się pani spokojnie dowiedzieć, bo i tak mi pani nie przeszkodzi.

Susan trzęsa się jak liść osiki. Ten człowiek był nieobliczalny w swej żądzy posiadania. Postanowiła grać na zwłokę.

— Nie rozumiem, co miałabym mieć wspólnego z pańskimi planami. Przecież sam pan najlepiej wie, że i tak nikt mi nie wierzy — powiedziała chłodno, starając się, aby jej głos się nie załamał zdradzając, że bardzo się boi.

— Jak długo jeszcze? Do tej pory wszystko szło tak, jak sobie zaplanowaliśmy. Diego podejrzewa panią o kradzież, oczekiwaliśmy jednak, dofia Sofia i ja, że panią z miejsca wyrzuci.

Dziewczyna utkwiała w Riverze badawcze spojrzenie.

— Obawiam się, że pana nie rozumiem.

— A więc wytłumaczę to pani, *señorita*. Moja siostra za wszelką cenę chce panią zwolnić. Dlatego upozorowaliśmy włamanie. Wszystko poszło jak po maśle. Pani mnie śledziła i dała się w ten sposób wciągnąć w pułapkę. Kiedy zawołała pani policjanta, rzuciłem doniczki i uciekłem. Miał dojść do wniosku, że to pani jest złodziejką. I udało się. Rozumie teraz pani, *señorita*? — Na twarzy Rivery rozlał się bezwstydnym uśmiech, gdy ciągnął dalej:

— Gdyby Diego panią zwolnił, moglibyśmy przywłańczyć sobie orchidee, Diego bowiem byłby przekonany, że ukryła je gdzieś pani i potem wywiozła. Ale on tylko postawił przy szklarniach dodatkowe straże i w ten sposób pokrzyżował nasze plany. Nie ma rady, musi pani zniknąć. Gdy Diego straci panią z oczu, będzie przekonany, że jego rośliny są bezpieczne. Sprawa przycichnie — a wtedy czarna orchidea będzie nasza.

Susan zamieniła się w słup soli, z przerażeniem, ale i niedowierzaniem wpatrując się w Rivere.

— Nie pomyślał pan o tym, że ktoś mnie będzie szukał?

Rivera z przekonaniem pokręcił głową.

— Nie wierzę. Diego pomyśli, że wróciła pani do Nowego Jorku. Pani pokój i szafa będą puste, już ja się o to postaram. A nawet jeśli zechce pani szukać, jest mi to obojętne. Przecież podczas spaceru zawsze może się zdarzyć nieszczęśliwy wypadek. I to najbardziej nieprawdopodobny!

Jego uśmiezek do reszty zmroził Susan. Próbowwała rzucić się do ucieczki, lecz błyskawicznie chwycił ją za rękę,

— Proszę się obejrzeć, *senorita* — rzucił rozkazująco.

Przerażona Susan rzuciła wzrokiem za siebie i włos zjeżył jej się na głowie. Niecałe dwa metry dalej droga urywała się, a za nią ziała przepaść.

— Nie jest taka głęboka, *senorita* — Rivera uspokajał ją kpiąco. Jego twarz wykrzywił zły uśmiech. — Jestem wrażliwym człowiekiem. Nie mógłbym znieść, gdyby pani spadła naprawdę z wysoka. Wystarczy mi, że nie będzie mogła pani wspinać się z powrotem. Bez raków nie da pani rady... a tędy nikt nie chodzi, to wszystko.

Uragliwie spojrzął na Susan i wyciągnął dłoń chcąc pogłaskać ją po policzku, lecz Susan nie czekała i po prostu ugryzła go w rękę. Rivera zaklął, z trudem oswobodził rękę i pchnął dziewczynę w stronę przepaści. Udało jej się jeszcze złapać równowagę, ale Rivera był szybszy. Krzyknęła przeraźliwie spadając i miała jeszcze na tyle przytomności, że próbowała się czegoś chwycić, niestety nie udało jej się dosięgnąć nawet kępki trawy...

Gdy się ocknęła, było jeszcze jasno. W pierwszym rzędzie zaczęła macać ręce i nogi upewniając się, czy niczego nie złamała. Okazało się, że nie, mimo to liczne stłuczenia i zadrapania sprawiały jej i tak wystarczająco dotkliwy ból, a głowa wprost pękała.

Z trudem usiadła rozglądając się naokoło. Miała niesamowite szczęście, jakimś cudem bowiem utknęła na wą-

skim występie skalnym między dwoma olbrzymimi głazami. Pod jej nogami, mimo zapewnień Rivery, otwierała się przyprawiająca o zawrót głowy przepaść, a na prawo i lewo piętrzyły się strome skały.

Zrozpaczona przywarła plecami do skalnej ściany. Co robić w tak straszliwym położeniu? Wołanie o pomoc nie odniesie skutku, bo któż tędy przechodził? Rivera doskonale wybrał miejsce zbrodni, nie ma co mówić. Jeden jedyny raz przeleciał w górze samolot, lecz jej machania nikt nie zauważył, maszyna leciała za wysoko...

Susan zdjęła swą białą bluzkę i zawiesiła na wystającej krawędzi skały jako coś w rodzaju sygnału. Ale kto niby miał ten sygnał odebrać?

Siedząc tak z podkurczonymi nogami na wąskiej półce skalnej rozszlochała się na dobre. Nie miała już nawet siły złościć się na Rivere, a wraz z ciągnącymi się w nieskończoność minutami coraz bardziej traciła poczucie czasu i przestrzeni.

Nagle uniosła głowę nad słuchując. Ktoś spieszenie szedł lasem i wołał. Głos stawał się coraz wyraźniejszy i raptem urywane dźwięki złożyły się w jej własne imię.

— Susan, Susan, gdzie pani jest?

Szczęście ogarnęło ją gorącą falą. Diego!

Próbowała krzyknąć, lecz z jej gardła dobył się tylko chrapliwy szepc.

Trwało dobrą chwilę, zanim Diego ją znalazł. Przechylił się nad urwiskiem i zawołał:

— Jest pani ranna?

Susan nie była w stanie wydusić słowa, skinęła tylko głową.

— Niech się pani nie rusza. Zaraz sprowadzę pomoc.

Podniosła rękę na znak, że zrozumiała, lecz siły opuściły ją zupełnie, gdy tak czekała oparta o skałę. Znowu zrobiło jej się czarno przed oczami, tym razem ze wzruszenia.

Kiedy z wysiłkiem otworzyła oczy, jak przez mgłę ujrzała pochylającą się nad nią twarz.

— Niech pani nic nie mówi. Jest pani w szpitalu. Przy upadku doznała pani wstrząsu mózgu, ale i tak miała pani niesamowite szczęście, bo mogło być gorzej. Jeżeli będzie pani spokojnie leżeć, być może już w następnym tygodniu wypiszemy panią do domu. Aha, i żadnych wizyt, rozumie pani. Musi mieć pani bezwzględny spokój, od niego uzależniam wynik całej terapii.

Susan skinęła słabo. Twarz lekarza rozplynęła się. Kłujący ból w głowie nie pozwalał jej zebrać myśli.

— Spać, spać — szepnęła bezdźwięcznym głosem.

Przez cały następny dzień i noc była zawieszona między jawą a snem, słysząc głosy, co do których nie była pewna, czy należą do żyjących osób, czy też są majakami sennymi.

...kocham cię — szeptał pieszczotliwie dźwięczny głos.

...nigdy nie pozwolę, żeby noga pani powstała na farmie — wołał z gniewem inny.

...ona rozmawia sama ze sobą, doktorze...

...dzieci pani potrzebują...

...Proszę jej dać jakiś środek przeciwbólowy...

...Ostrzegam panią! Jeśli nie będzie się pani trzymała z daleka od szklarni...

...Pożaluje pani tego, *senorita Adams!*

...Kocham cię...

...musi pani zniknąć...

Susan obudziła się mokra od potu. Była sama. Nie czuła już kłującego bólu w głowie i po raz pierwszy od wielu dni mogła normalnie myśleć.

Dreźczyło ją mnóstwo pytań. Co się działo na farmie? Może Rivera wpadł już w pułapkę? Albo się przyznał? Nie, to niemożliwe. Lub próbował w dalszym ciągu wszystko zważyć na nią, Susan? To już pewniejsze. Czy Diego się

zorientował, że Rivera chciał ją zabić? Nie, Rivera z pewnością mu wmówił, że to wypadek, tak jak to zapowiadał. Gdy wreszcie zjawiała się pielęgniarka, Susan z miejsca zarzuciła ją pytaniami, ta jednak pozostała niewzruszona.

— Proszę leżeć spokojnie. Denerwując się tylko pogarsza pani swój stan.

W parę minut później wszedł lekarz.

— Widzę, że czuje się pani lepiej, myślę więc, że już niedługo zostanie pani wypisana.

Susan obawiała się powrotu na farmę. Czy dzieci zdążyły poznać całą historię? Jak się zachowają wobec niej? To spowodowało, że opuszczała szpital z niemiłym uczuciem w okolicy żołądka. Napięcie trochę minęło, gdy zobaczyła czekających na nią u wejścia do domu Roberta i Emilię.

Z poważną miną Roberto podbiegł do samochodu i pomógł Susan przy wysiadaniu. Była jeszcze taka słaba, że zatoczyła się na chłopca i z wysiłkiem doszła do sofy w salonie.

— Dlaczego nie idziesz od razu do swego pokoju? — spytała niewinnie Emilia.

W jej głosie było coś, co Susan zastanowiło. To dziwne. Dzieci odnosiły się do niej z rezerwą. Prawdopodobnie obawy, z jakimi zmagala się w szpitalu, nie były nieuzasadnione. Pewnie już wiedziały o ciąży na niej podejrzeniu i za dobrą monetę przyjęły tłumaczenia dorosłych. A więc i one... Susan dałaby wiele, by się dowiedzieć, co tak naprawdę dzieje się w ich głowach.

— Gdzie wasza mama? A wujek Diego? — spytała z rezygnacją w głosie.

— Mama i wujek Alvaro wyjechali do Francji, a wujek Diego wróci za chwilę. Chce z tobą mówić.

A więc nie myliła się. Były zmiany, i to jakie! Od razu

poczuła się lepiej, gdy usłyszała, że doña Sofia i Rivera są daleko. Aż serce w niej skakało na samą myśl z radości.

Zaraz jednak spochmurniała. Czego to znowu Diego od niej chce? Wzruszyła niechętnie ramionami. Dość już miała jego zarzutów i podejrzliwości. Dlaczego nie zostawi jej wreszcie w spokoju? Jeszcze tylko kilka dni, myślała. Potem spakuję manatki i wyjadę stąd. Na zawsze. I jeszcze postaram się jak najszybciej wymazać ten cały epizod z pamięci. Epizod? To była część życia, nie epizod! Susan zdążyła już wrócić w nowe środowisko, przywiązać się do dzieci... mniejsza o to, wszystko ma swój kres. A przecież było jej przeraźliwie smutno. Dzieci, zawsze szczerze i spontaniczne, wydawały się jakieś zmienione. Jakby dziwnie poważne, i w dodatku płochliwe.

Kiedy jednak wreszcie dotarła do swego pokoju przy wydatnej pomocy Roberta i Emilii, nie mogła uwierzyć własnym oczom. Nad jej łóżkiem widniał napis wykonany niewprawną ręką:

'Witaj w domu! Kochamy cię!

Zaskoczona odwróciła się do dzieci, które zatrzymały się w progu wyczekując jej reakcji. Widząc łzy w jej oczach wydały okrzyki radości, przypadły do niej i zaczęły ją ścisnąć.

— Jesteście kochani... — szepnęła do głębi wzruszona.

— Już myśleliśmy, że nigdy nie pójdziesz do swego pokoju — Emilia tańczyła wokół niej z radości.

Roberto troskliwie ujął Susan za rękę.

— Musisz teraz odpocząć. Będziemy cicho jak myszki, żeby cię nie zbudzić.

Susan zrobiło się jeszcze ciężiej na duchu. Zdążyła pokochać te dzieci, one też darzyły ją miłością i przywiązaniem, jakże więc teraz ma im powiedzieć, że je opuszcza na zawsze?

Kiedy dzieci wyszły, wstała jednak i rozejrzała się po

jasnym, przyjemnie urządzonej pomieszczeniu. Tu marzyła, nieraz także płakała, niezliczoną ilość razy myślała o brodatym mężczyźnie z samolotu. A potem już tylko o Diegu!

Podeszła do okna. Stała tam orchidea, którą Diego jej podarował podczas pierwszego pobytu w szklarni. W zamyszeniu dotknęła aksamitnych płatków. Naraz oczyma duszy ujrzała Diega, jak schyla się nad kwiatami, z jaką troskliwością, wręcz uczuciem się nimi zajmuje... Westchnęła.

— Tylko nie to! — rzekła do siebie na głos, odpychając natarczywe myśli. — Nie pozwolę się mu więcej ranić!

Zacisnąwszy wargi wyciągnęła z szafy walizkę, po czym jednym ruchem zgarnęła wszystkie rzeczy z wieszaków i cisnęła je beładnie na łóżko.

W tym momencie rozległo się pukanie do drzwi.

— Susan?

Poderwała się zwał walizki, gdzie upychała jak popadnie swoje sukienki, i stanęła nad słuchując. Jej serce biło jak zwariowane.

— Proszę wejść — rzuciła oficjalnym tonem.

Diego zatrzymał się w progu omiatając zaskoczonym spojrzeniem pokój. Jego oczy zaśniły niespokojnie, mimo to wyglądał jak człowiek, któremu kamień spadł z serca.

— Susan — szepnął wyciągając do niej rękę.

Jak zahipnotyzowana podeszła z wolna ku niemu. Diego łagodnie przyciągnął ją do siebie, ujął w rękę jej twarz i odnalazł wargi. Susan zamknęła oczy. Jej ciałem wstrząsnęły słodkie dreszcze. Zapominając o wszystkim, co ich dzieliło, przywarła do niego i odwzajemniła pocałunek z taką namiętnością, o jakiej nigdy nie marzyła. Stali tak spleceni w uścisku, patrząc sobie z oddaniem w oczy. Minęła wieczność, zanim Susan wyzwoliła się z jego objęć i powróciła do pakowania.

— Co ty robisz? — spytał wstrząśnięty. Jego głos brzmiał ochryple.

Susan nie uniosła wzroku. W jej myślach panował chaos. Każda najmniejsza cząsteczka jej ciała rwała się do tego mężczyzny, i to jak jeszcze. Kochała go, wiedziała o tym z przerażającą pewnością, mało tego, wiedziała już, że i on ją kocha. A mimo to... nie mogła tu zostać, po tym wszystkim, co ją spotkało pod jego dachem. Nigdy nie zdoła zapomnieć, że jej nie ufał, że w nią zwątpił. Uciec, uciec jak najdalej od niego i tych wszystkich strasznych zdarzeń...

— A więc jednak chcesz odejść — upewnił się głucho.

— A co mi innego pozostaje? Tak będzie najlepiej dla nas wszystkich — odparła ledwie słyszalnym głosem.

Utkwił w niej przenikliwe spojrzenie. Susan uniosła rękę do gardła, jakby chcąc uciszyć szaleńczo bijące serce, i wpatrzyła się pustym wzrokiem w przestrzeń gdzieś ponad Diegiem.

— Muszę ci wyjaśnić... — zaczął niepewnie, Susan jednak przerwała mu wpół słowa:

— Daruj sobie to wyjaśnienie, dobrze? Posądziłeś mnie, to wystarczy. Wiem, ludzie interesu muszą być czujni, potrafię to zrozumieć. Ale teraz już koniec z tym! Nie chcę i nie będę więcej pracować dla ciebie i twojej rodziny.

— Susan, Susan — powtarzał zbielełymi wargami próbując na powrót wziąć ją w objęcia.

Ale Susan odepchnęła go od siebie.

— Nie dotykaj mnie, słyszysz, nie dotykaj mnie! — wydyszała. Jego bliskość działała na nią zniewalająco, mogła przekreślić z takim trudem powziętą decyzję.

Diego zbladł jak ściana.

— Dobrze, będzie, jak zechcesz, lecz proszę cię, żebyś najpierw raczyła mnie wysłuchać. Owszem, zgadza się,

przez moment rzeczywiście myślałem, że to ty ukradłaś te nieszczęsne nasiona. Zaraz jednak tego gorzko pożałowałem. Po twoim pierwszym pobycie w szpitalu chciałem ci wyznać, co do ciebie czuję, ale zanim zacząłem mówić, te przekłete nasiona wypadły z twojej torebki. Przyznaję, zwątpiłem i straciłem panowanie nad sobą, lecz już w parę sekund później wiedziałem z całą pewnością, że cię oskarżyłem niesłusznie. Wszystko się we mnie buntowało na myśl, że to ty miałabyś zrobić. Właśnie ty! Kochałem cię i za żadne skarby nie chciałem w ciebie zwątpić. Ty straciłaś przytomność, a ja nie zdążyłem cię poprosić o wybaczenie. Było za późno.

Diego przełknął głośno ślinę. Widać było, że to wyznanie przyszło mu z trudem.

— Długo rozmyślałem nad tym, kto byłby zainteresowany kradzieżą. Swych współpracowników znam od lat, są absolutnie pewni. Ty też nie wchodziłaś, w grę, zapewniam cię. Obcych tu nie było, więc musiał to zrobić ktoś z najbliższego otoczenia. Mój instynkt, acz niechętnie, podpowiedział mi, że tylko Sofia i Alvaro byliby zdolni do czegoś takiego.

Susan wpatrzyła się w Diega nie rozumiejąc.

— I ty o tym wiedziałeś? Przez cały ten czas? Dlaczego w takim razie zabroniłeś mi wchodzić do szklarni?

— Był konkretny powód ku temu. Przecież mam oczy i widzę, że Sofia ciebie nie cierpi i że z rozkoszą zrobiłaby z ciebie przestępczynię. Chciałem jej pokrzyżować plany, ale musiałem mieć pewność, że zostaniesz poza kręgiem podejrzanych. Ale ty koniecznie chciałaś bawić się w detektywa i w ten sposób wpadłaś w zastawioną na siebie pułapkę. Alvaro uciekł, a ty zostałaś na miejscu jako podejrzana, dokładnie jak to sobie wcześniej zaplanował. To było takie proste! Potem oczywiście przywdział maskę niewinności miotając na ciebie oskarżenia. Tylko ze wzglę-

dów bezpieczeństwa chciałem cię trzymać z daleka od szklarni. Nie udało się. Jednego nie przewidziałem: że Alvaro mógłby nastawać na twoje życie.

Chwycił się za skronie gestem zdradzającym największe wzburzenie.

— Gdyby nie Emilia... — ciężko zaczerpnął powie trza — nie wiem, co by się stało. Co prawda starałem się nie spuszczać ciebie z oka — to te dziwne spojrzenia, przemknęło przez głowę Susan — a mimo to zniknęłaś. Spytałem Emilii, czy ciebie nie widziała. Na szczęście zauważyła, że dokądś poszłaś z Alvarem. Powiedziała też, że na pewno nie zrobiłaś tego dobrowolnie, bo go nienawidzisz. Natychmiast ruszyłem na poszukiwanie, niestety, było już za późno, już cię zdążył strącić w przepaść. Spotkałem go, gdy wracał. Najpierw zaczął się wykręcać, upierając się, że cię już od paru godzin nie widział, ale gdy sobie z nim odpowiednio porozmawiałem, a wiesz, jaki potrafię być nieprzyjemny, kiedy... kiedy...

W głosie Diega dźwięczały złowróżbne tony. Mogła sobie wyobrazić, jak ta rozmowa wyglądała.

— Wreszcie, przyciśnięty do muru, wyznał, że spadłaś z urwiska i że on właśnie biegnie sprowadzić pomoc. Wszystko już wtedy wiedziałem. Rzuciłem mu prosto w twarz, że kłamie, i kazałem mu wracać. Nie chciałem go brać ze sobą, bo kto wie, co mógłby ci zrobić nawet w mojej obecności. On mógł... mógł... Nie, lepiej o tym nie myśleć — otarł zroszone potem czoło.

Diego opowiedział też, jak to wreszcie przewiózł Susan do szpitala, a lekarz po pierwszym badaniu nie dawał wielkich nadziei na jej przeżycie.

— Nie możesz sobie nawet wyobrazić, jak się wtedy czułem. Nie wolno mi było ciebie odwiedzać, dzwonić czy posłać kwiatów. Szalałem z niepokoju, a nic nie mogłem dla ciebie zrobić. Doktor zalecił absolutny spokój. Od tego

uzależniał wyniki leczenia. Szalałem z niepokoju. Teraz, z perspektywy czasu, wydaje mi się, że były to dwa najczarniejsze tygodnie w moim życiu, a gdy wychodziłaś ze szpitala, nie mogłem nawet po ciebie przyjechać, bo wezwano mnie na policję. Gomez chciał między innymi wiedzieć, gdzie obecnie przebywa Alvaro. Nie zdradziłem mu jednak tego, ze względu na pamięć o bracie. Postaraj się zrozumieć... W każdym razie zmusiłem ich do przyrzeczenia, że już się tutaj więcej nie pokażą. Mieszkają teraz w Paryżu. Ja nadal będę wypłacał Sofii coś w rodzaju renty, aby mogła beztrudnie żyć. Zresztą jest to jedyna rzecz, na której jej naprawdę zależy. Zrezygnowała z dzieci, Roberto i Emilia byli dla niej zawsze ciężarem.

Długo przemyślałem nad tym, czy postępuję słusznie. W końcu jednak zapytałem sam siebie, co by na moim miejscu zrobił Jaime, i doszedłem do wniosku, że to samo.

Diego przerwał na chwilę, z wahaniem patrząc na Susan, wreszcie zdobył się na odwagę:

— Susan, jeśli zdecydowałabyś się zostać, moglibyśmy razem zacząć nowe życie. Bardzo bym chciał, żebyś została, i to nie tylko z powodu dzieci... Przecież ja ... ciebie... Kocham...

— Kocham? — zawołała Susan z goryczą. — Cóż ty wiesz o miłości!

Diego wpatrzył się w nią nierozumiejącym wzrokiem, lecz widać było, że lada moment wybuchnie. Zbladł śmiertelnie, ręce mu drżały.

Susan nie dała się zbić z tropu. Niech wie, co ona o nim myśli!

— Niby tak bardzo kochałeś Jaime, a już w dzień po pogrzebie spałeś z wdową po nim — natarła na niego z furią. — A twoja miłość do Sofii była tak wielka, że nie uznałeś za stosowne ożenić się z nią. Co prawda brat w testamencie żądał, byś się z nią ożenił, ale na cóż ci był

akt ślubu? I tak miałeś to, czego pragnąłeś najbardziej: czarną orchideę.

Podenerwowana zaczęła chodzić tam i z powrotem po pokoju.

— Nie mów mi o miłości, słyszysz? Powiedz lepiej, że żyłeś z Sofią z czystego poczucia obowiązku. Nie miałeś nawet na tyle taktu, aby starać się zachować tajemnicę przed dziećmi. Emilia zdążyła podsłuchać, że nie jesteś zainteresowany małżeństwem z jej matką!

Oczy Diega zwęziły się w szparki. Nagle brutalnie chwycił Susan za ramiona i potrząsnął.

— Ty chyba postradałaś zmysły! — wykrztusił z trudem. — Jak długo jeszcze będziesz krążyć po pokoju i ciskać na moją głowę oskarżenia nie wiedząc, jak było naprawdę?

Susan umilkła oszołomiona.

— Czy zdajesz sobie sprawę, Susan, co powiedziałaś? A ja, głupiec, wyrzucam sobie, że przez chwilę zwątpiłem w ciebie!

— Nie powiesz mi chyba, że nie prowadziłeś fałszywej gry z Sofią! — gorączkowo starała się uzasadnić swój wybuch.

Diego opadł na fotel. Wyglądało na to, że zabrakło mu powietrza. Z trudem zdołał się nieco uspokoić.

— Susan, usiądź na chwilę i wysłuchaj mnie — poprosił zmęczonym głosem.

Susan nie zareagowała, pochyliła się tylko z powrotem nad walizką.

Wzdrygnęła się na odgłos zamykanych drzwi. Już w tej chwili żałowała, że tak się dała ponieść. Odszedł, to koniec. A przecież go kochała, i to jak jeszcze! Po co mu zadała tyle bólu? On pewnie i tak zrobi coś takiego, że będzie go musiała znienawidzić, próbowała się usprawiedliwić sama przed sobą. Mimo to ciężkie łzy stoczyły się po policzkach dziewczyny.

Dlaczego miłość musi być taka trudna? Dlaczego zakochała się w człowieku tego pokroju, który ją odpychał i przyciągał jednocześnie? „Idź do niego, powiedz, jak bardzo go kochasz”, żądało serce.

Duma okazała się jednak silniejsza.

RS

12

Otarła łzy, wyczerpana do reszty. Kolana ugięły się pod nią, gdy wróciła do pakowania. Nie pozostało jej nic innego, tylko jak najszybciej wyjechać. Wróci do swoich, zacznie nowe życie, a Diego skrupulatnie wykreśli z pamięci. Nie będzie to łatwe, wiedziała aż za dobrze, lecz nowe obowiązki, nowe znajomości, a przede wszystkim przyjaciele pomogą jej zapomnieć.

Z zamyślenia wyrwał ją odgłos z impetem otwieranych drzwi. Diego wpadł bez pukania trzymając w ręce doniczkę z kwiatem.

Susan potrzebowała chwili czasu, aby wreszcie pojąć, po czym rzuciła się oszołomiona ku niemu.

— Diego! Udało się! Czarna orchidea! — szepnęła oczarowana.

W jednym momencie zapomniała o oskarżeniach i łzach i jak urzeczona wpatrywała się w przepiękny kwiat, przypominający kształtem łabędzia z rozpostartymi skrzydłami. Ostrożnie dotknęła łabędziej szyjki, która mieniła się kilkoma odcieniami czerwieni. Głowa i skrzydła tego osobliwego łabędzia miały połysk czarnego aksamitu.

— Diego, możesz być z siebie dumny. Jest cudowna!

Nie odpowiedział, wpatrzony posepnym wzrokiem w orchideę.

— Kiedy pomyślę, ile miałem z nią kłopotów... To ona jest wszystkiemu winna... to przez nią tracę największą miłość mego życia... Mam ochotę ją zniszczyć!

Uniósł rękę, lecz Susan już zdążyła zasłonić doniczkę swoim ciałem.

— Nie. Diego, orchidea nie jest niczemu winna. To my, ludzie, stwarzamy sobie problemy. Potrzebowałeś wiele czasu, aby wyhodować tę wspaniałą odmianę. To coś wyjątkowego, coś, co zostanie na zawsze. Byłoby grzechem to zniszczyć. Jeśli to zrobisz, nigdy sobie tego nie wybaczysz!

Aż się zadyszała. Diego wpatrywał się w nią skonsternowany, naraz jego twarz się rozjaśniła.

— Masz rację! Ta orchidea jest rzeczywiście czymś szczególnym, i to nie tylko ze względu na swą urodę. Jest częścią mnie samego.

Zaraz jednak spochmurniał na nowo.

— Susan — zaczął udreńczonym głosem. — Zbyt wiele od ciebie żądałem. Myślałem, że mnie zrozumiesz, lecz teraz widzę, że moje racje nie były przekonujące. Proszę cię, wysłuchaj mnie. Możesz się pakować lub robić coś innego, ale pozwól mi mówić. Ja muszę... — zaciął się — muszę to z siebie wyrzucić... Zresztą i tak nie wypuszczę cię z tego pokoju, dopóki nie powiem ci wszystkiego, absolutnie wszystkiego.

Na moment się zawahał, po czym rzekł zdradzającym wewnętrznym rozdarciem głosem:

— Nie wiem, od czego zacząć. Nie chciałbym niczego przemilczeć. Nawet... nawet jeśli zdecydujesz się mnie opuścić, musisz znać całą prawdę...

Opadł ciężko na fotel. Susan usiadła na łóżku postanawiając mu nie przerywać.

— Susan, nawet jeżeli w to nie możesz uwierzyć, mój brat Jaime znaczył dla mnie bardzo wiele. Był moim

najlepszym przyjacielem, to chyba mówi samo za siebie. Jego dzieci kocham jak swoje własne i bardzo mnie bolało, gdy widziałem, jak Sofia je traktuje. Dla niej Roberto i Emilia są tylko marionetkami, którymi z powodzeniem można manipulować.

Gdy Sofia zawiadomiła mnie o śmierci mego brata, przeżyłem szok, choć o wiele gorsze niż ta tragiczna wiadomość wydawało mi się zachowanie Sofii. Była zimna jak lód, nawet zapytywałem sam siebie, czy kiedykolwiek naprawdę kochała Jaime. Jego śmierć nie wywarła na niej najmniejszego wrażenia, wręcz przeciwnie, była jej na rękę. Przecież od lat myślała tylko o mnie. Zresztą ja tu też nie jestem tak całkiem bez winy. To piękna kobieta, podobała mi się... Wstyd się do tego przyznać, ale to prawda.

Diego spojrział na Susan. Miała zamknięte oczy i tylko napięcie w jej twarzy zdradzało, że nie uszło jej uwagi ani jedno słowo.

Owszem, Sofia chciała mnie poślubić i w którymś momencie ja też nie byłem od tego... Doprawdy jednak nie wiem, skąd się wzięła ta cała historia z testamentem. Myślę, że to czysty wymysł Sofii, abym nie mógł się wycofać... Widziałem dokument sporządzony ręką mego brata i jestem gotów przysiąc ci na wszystkie świętości, że nie ma w nim słowa o małżeństwie. Ani o tym, że stracę prawa do czarnej orchidei, gdy się z nią nie ożenię.

Przez całe lata eksperymentowałem z czarną orchideą. Jaime w ogóle się tym nie zajmował. A ja mimo to chętnie bym się wyrzekł czarnej orchidei, gdyby Sofia zrzekła się swego prawa do dzieci. Wiesz przecież, jaka z niej wyrodna matka!

Sofia jednak miała własne plany. Na dzień przed pogrzebem oświadczyła, a brzmiało to jak pogróżka, że postanowiła wysłać dzieci z domu. Roberta zamierzała oddać do internatu, a Emilię do szkoły klasztornej. Oby-

dwoje więc mieli wzrastać z dala od siebie, pozbawieni wszystkiego, do czego przywykli. Możesz sobie wyobrazić, jak byłem oburzony, gdy to usłyszałem. Susan wzdrygnęła się.

— To przecież nieludzkie... — wyszeptała ocierając oczy. — Biedne dzieci...

Diego skinął głową.

— Tak, Susan, to brzmi nieprawdopodobnie, a jednak. Oczywiście Sofia od razu zauważyła, że nie jestem zachwycony jej pomysłem, więc co prędzej zmieniła taktykę. Mam się z nią ożenić, i to zaraz, wtedy ona łaskawie się zgodzi, aby dzieci zostały przy nas.

— O Boże! To przecież najzwyklejszy szantaż! — wyrwało się Susan.

— Wiesz, do czego jest zdolna — pokręcił głową. — Zdążyłaś ją już poznać. Czy zdarzyło ci się kiedyś zauważyć, że choć przez chwilę pomyślała o innym człowieku? Nigdy!

Susan musiała mu przyznać rację, dalej jednak nie mieściło się jej w głowie, że matka mogłaby być zdolna pozbyć się swoich dzieci. Wpatrywała się w Diega z niedowierzaniem.

— Z powodu dzieci byłem już nawet gotów Sofię poślubić. Ostatecznie wcześniej nigdy nie spotkałem Kobiety tak atrakcyjnej jak ona, wmawiałem więc sobie, że nie będę żałować. A Sofia potrafiła mnie owinać dookoła palca... I pewnie tak by zostało, gdybym nie spotkał innej — i to była moja miłość od pierwszego wejrzenia...

Susan skurczyła się w sobie, jak gdyby zadano jej cios, zaraz jednak wyprostowała się i dumnie uniosła głowę. Dość już miała tych historii miłosnych. Najpierw mówił, że kocha ją, Susan, potem zaczął się rozplýwać nad urodą Sofii, a teraz znowu jakaś trzecia. Tego już za wiele. Ta poza Casanovy była odstręczająca. To okropne, kiedy

mężczyzną zaczyna opowiadać takie rzeczy. Zaciśnęła usta.

Jej reakcja nie uszła uwagi Diega.

— Nie przerywaj mi, Susan — powiedział widząc, że aż się gotuje ze złości. — Mówię o tobie! To ty jesteś kobietą, w której zakochałem się od pierwszego wejrzenia!

— Co? Co takiego?! — Susan znieruchomiała wpatrując się w Diega z irytacją. — Ale my... my... poznaliśmy się przecież... dużo... później — wykrztusiła. — Przecież... przecież byłam już prawie miesiąc w twoim domu. — Po woli odzyskiwała pewność siebie.

— O nie! — odparł z nieodgadnionym uśmiechem. — Widzieliśmy się wcześniej. Bardzo krótko, to prawda. Nie mów, że sobie nie przypominasz.

Susan potrząsnęła stanowczo głową. On chyba postanowił z niej zakpić.

— Jestem pewna, że nie — oświadczyła kategorycznie.

— A jednak. Zaraz ci przypomnę okoliczności naszego pierwszego spotkania. Byłem w Acapulco, gdy zginął Jaime. Wracalem pierwszym samolotem do Mexico City...

Susan drgnęła i szeroko otwartymi oczami wpatrzyła się w Diega.

— W samolocie siedziałem naprzeciw młodej kobiety z dwojgiem dzieci. Była strasznie zdenerwowana. Dosłownie w ostatniej minucie przed odlotem usiadła obok nas dziewczyna. Mimo przygnębienia od razu zwróciłem uwagę na jej wspaniałe złote włosy...

Susan poderwała się z miejsca i na powrót opadła, nic nie rozumiejąc. To niemożliwe... ja chyba śnię... To sen, nic więcej... myślała w popłochu.

— Byłem wtedy przybity śmiercią brata — ciągnął Diego — i nie za bardzo zdawałem sobie sprawę z tego, gdzie jestem i co się ze mną dzieje, a myśl, że resztę życia

mam spędzić z Sofią, też mnie nie uszczęśliwiła, wierz mi. Próbowałem więc zasnąć, aby choć na chwilę zapomnieć, lecz nic z tego. Tuż obok mały chłopiec wylał na siebie lemoniadę. Matka bardzo się na niego gniewała, że zniszczył piękne nowe ubranko.

Diego urwał, patrząc na Susan z uśmiechem.

— Wiesz już, czy mam opowiadać dalej? — Ponieważ milczała, wpatrując się w niego niedowierzającym wzrokiem, ciągnął dalej: — Tylko jedna osoba zajęła się spontanicznie chłopcem — rzekł zaglądając przy tym w szeroko otwarte z wrażenia oczy Susan. — Była to właśnie ta młoda pasażerka o prześlicznych blond włosach. Jej naturalny, serdeczny sposób bycia po prostu mnie urzekł. Tak, tak, zakochałem się w tej dziewczynie nie znając nawet jej imienia...

Susan najpierw zbladła jak ściana, potem zaczerwieniła się po czubki włosów. Jej serce biło jak zwariowane. Na twarzy Diega igrał subtelny uśmiech.

— Tak — powiedział cicho ujmując jej rękę. — To naprawdę była miłość od pierwszego wejrzenia. Myślałem, że o takich czyta się tylko w powieściach, a przydarzyła się właśnie mnie. Och, Susan, nie mogłem oderwać od ciebie oczu. Wiem, że byłaś speszona czując na sobie spojrzenie obcego. Zauważyłem to, lecz nie mogłem inaczej. Sam tego nie rozumiałem. Wiedziałem w tym momencie tylko to jedno, że jesteś kobietą, o jakiej zawsze marzyłem. Ale zaraz potem przypomnieli mi się Roberto i Emilia... i oczywiście Sofia. Nie mogłem tak po prostu iść za tobą. Nie pozostawało mi zatem nic innego, jak pozwolić ci odejść swoją drogą, choć było mi bardzo ciężko. Miałem przecież świadomość, że pewnie cię już nigdy nie zobaczę. Ostatecznie byłaś przecież turystką... Mimo to chciałem ci dać choćby drobny dowód moich uczuć. Wiesz już, jaki...

Wziął ją w ramiona. Susan uczuła, że słabnie, wszystko wokół niej wirowało w zawrotnym tempie. Diego z czułością przytulił ją do siebie, a ona ufnie złożyła głowę na jego ramieniu. Była taka szczęśliwa!

Wreszcie pojęła, że to nie sen. Coś jednak tu się nie zgadzało. Dlaczego nie poznała go wcześniej? Przecież nie jest ślepa...

— Ale... aleja... ja nie rozumiem... dlaczego cię nie ... poznałam... — wyjąkała oszołomiona.

Diego przytulił ją jeszcze mocniej do siebie.

— Kochanie, nikt ci nie opowiadał, że ja i Jaime byliśmy bliźniakami i obaj nosiliśmy brody? Nikt nas nie mógł rozróżnić. To Sofia skłoniła mnie po śmierci Jaime, bym zgolił zarost. Zbyt go przypominałem, wydawało jej się to niesamowite.

— Bliźniaki? — zdumiała się Susan, po czym powiedziała z uniesieniem: — Diego, ja chyba śnię, lecz to najpiękniejszy sen, jaki kiedykolwiek mógł mi się przyśnić.

Diego zajął jej z oddaniem w oczy. Jego twarz spoważniała.

— Gdy wróciłem wtedy do Mexico City, Sofia od razu zaczęła się domagać odpowiedzi, kiedy się pobierzemy. A ja po spotkaniu z tobą nie mogłem tego zrobić... Dzień i noc myślałem tylko o tobie. Tylko z tobą chciałem być, z żadną inną kobietą... — Złożył na jej ustach gorący pocałunek i mówił dalej: — Po długim namyśle, acz niechętnie, zgodziłem się przy Sofii pozostać rok nie wiążąc się. Musiałem ze względu na dzieci, sama wiesz. To był J^cJ pomysł, żebyśmy na zewnątrz występowali jako małżeństwo. Sofia liczyła na to, że po roku nie będę jej mógł odmówić i wreszcie się z nią ożenię. Choćby z powodu przyjaciół i znajomych... Ale to wszystko należy już do przeszłości. Teraz, kiedy mam ciebie...

— Ale... ale dlaczego nie powiedziałaś mi tego wszystkiego wcześniej?... Tyle moglibyśmy sobie zaoszczędzić...

— Susan, bałem się. Otwarcie się do tego przyznaję. Sofia na każdym kroku prześladowała mnie swą zazdrością, tak jak gdyby czuła, że zakochałem się w innej. Jak myślisz, co by zrobiła, gdyby wiedziała, kim jest moja wybranka? Już i tak zrobiła wystarczająco dużo złego. Dlatego musiałem udawać obojętność wobec ciebie. Zresztą sama wiesz, że nie na wiele to się zdało. Sofia ma intuicję, tego jej nie można odmówić...

Musnął jej wargi i wypuścił ją z objęć. W duszy dziewczyny wszystko śpiewało.

— Nigdy nie zapomnę tej chwili, kiedy zobaczyłem ciebie w naszym ogrodzie — uśmiechnął się w zamyśleniu. — To było tak, jakby zniecka strzelił we mnie piorun. Za nic nie mogłem pojąć, jakim to dziwnym zrzędzeniem losu właśnie ty jesteś nową opiekunką do dzieci!

— Zauważyłam! Wyjątkowo źle się wtedy ze mną obszedłeś. — Susan roześmiała się patrząc na niego spod oka. W jej oczach błyszczały łobuzerskie ogniki.

Diego na powrót ujął twarz dziewczyny w swe dłonie.

— Przecież nie mogłem ot, tak po prostu podejść i wziąć cię w ramiona. Zdjął mnie wtedy paniczny lęk. Doskonale zdawałem sobie sprawę, co to będzie za męka, gdy znajdziesz się na co dzień tuż obok, a ja nie będę mógł cię nawet dotknąć. Dlatego zdjęty paniką pomyślałem najpierw, że najlepiej będzie, jeśli od razu opuścisz mój dom. Wiem, Susan, wiem, jestem słaby. Ale ty też byłaś niesamowicie uparta, sama musisz przyznać. I pięknie się ze mną rozprawiłaś, przypominasz sobie? Jesteś osobką z charakterem, to widać! — Mrugnął do niej wesoło. — Strasznie się bałem, że mnie rozpoznasz, lecz na szczęście widziałaś mnie wcześniej z brodą. Robi-

łem wszystko, aby spędzać z tobą i z dziećmi jak najwięcej czasu. A ty mnie unikałaś... — pokręcił ze śmiechem głowę. — Sofii było to najzupełniej obojętne. Wiesz przecież, że nie cierpi dzieci. Nigdy nie mogła zrozumieć mojej „małpiej miłości” do dzieci, tak to nazywała, w dodatku cudzych, jeśli w ogóle można tak nazwać dzieci rodzzonego brata... A ty byłaś taka uparta, gdy coś proponowałem. Na przykład postanowiłaś sama wybrać się do Teotihuacanu, a ja tak chciałem ci towarzyszyć. Wpadłem w szal, kiedy dowiedziałem się, że byłaś tam z Riverą.

Susan zadrżała na samo wspomnienie i z zażenowaniem spuściła głowę.

— Spotkałam go tam przypadkiem, to znaczy wtedy tak mi się wydawało — wyznała cicho. — A chciałam jechać tam sama, gdyż przecucie mi mówiło, że mogę tam spotkać mężczyznę z samolotu. Ja też się w nim za kochałam od pierwszego wejrzenia... i to był jedyny powód, dla którego zostałam w Mexico City...

Diego spojrział na nią z miłością.

— Nawet nie przeczuwasz, co się wtedy ze mną działo. Naprawdę myślałam, że darzysz Alvara względami. Myśl, że mógł ci się po prostu narzucać, jakoś nie przyszła mi do głowy... Wyglądałaś wtedy po powrocie z wycieczki na wyjątkowo uradowaną...

Susan splonęła rumieńcem, myśląc ze smutkiem o tym, ile wysiłku ją kosztowało, aby po tej obrzydliwej scenie z Riverą nie dać nic poznać po sobie.

Zmusiła się do spojrzenia mu w oczy.

— Mam nadzieję, że już tak nie sądzisz. — Żar w jego oczach przyprawił dziewczynę o szybsze bicie serca. — Wiesz, co mnie prześladowało, od kiedy byłam u was? Myśl, że mężczyzna z samolotu jest gdzieś w pobliżu i mnie obserwuje. Rozglądałam się wtedy i zawsze znaj-

dowalam w zasięgu wzroku ciebie. Było to osobliwe uczucie. Nie mogłam uporać się z tą zagadką. Bardzo to głupie, prawda?

Diego nie odpowiedział, patrzył tylko z uśmiechem w oczy dziewczyny.

— Powiedz mi jedno — zaczęła na nowo — dlaczego nie powiedziałeś mi, że jesteś mężczyzną z samolotu?

Diego zamyślił się.

— Widzisz, Susan, wyobraziłaś sobie człowieka idealnego, któremu ja nawet do pięt nie dorastałem. Byłem wstrząśnięty, gdy leżąc w szpitalu mówiłaś o nim w malignie. Tak gwałtownie zareagowałaś na fotografię Jaime, że nagle uzmysłowiłem sobie, co tak naprawdę czujesz. Kochałaś człowieka z samolotu mając o nim fałszywe wyobrażenie. Byłem zresztą nieprzytomnie szczęśliwy, że mnie nie zapomniałaś i że to ja jestem obiektem twoich uczuć. Owszem, zastanawiałem się przez moment, czy ci nie powiedzieć prawdy, ostatecznie jednak postanowiłem dać ci wierzyć, że twój wyśniony mężczyzna nie żyje. Zresztą przyszłość nie przedstawiała się wtedy dla nas różowo, wołałem więc milczeć. Chciałem, żebyś została wolna. Wystarczyło, że ja byłem nie wolnikiem w swym własnym domu... A przede wszystkim, Susan, ja nie jestem tym nieposzlakowanym mężczyzną, którego sobie wymarzyłaś. Jestem najzwyczajszym człowiekiem pod słońcem i mam mnóstwo wad!

Susan w uniesieniu zarzuciła mu ręce na szyję i przytuliła swój policzek do jego twarzy.

— Ale ja właśnie tego najzwyczajszego człowieka pod słońcem kocham do szaleństwa — oświadczyła z przekonaniem. — Nie jesteś fantomem, jesteś samą rzeczywistością. A ja czuję się w twoich ramionach taka szczęśliwa...

Diego odpowiedział jej namiętym pocałunkiem.

— Chciałbyś, żebym znowu zapuścił brodę? — spytał całkiem poważnie.

Susan wolno pokręciła głową, patrząc zakochanym wzrokiem na Diega.

— Och nie! Nie chcę już tego mężczyzny ze snów. Pragnę mężczyzny, który jest rzeczywistością. Ciebie, Diego — na całe życie tylko ciebie!

RS

